Dziś w numerze: J. BĄBIŃSKI **Zachodnioniemiecki mit** ● H. PAWLAK **Melpomena w szarej opończy** ● K. BADZIAK **Czas na rozliczenie** ● **W Warszawie „Jesień" – w Łodzi przednówek** ● **Ulica Piotrkowska** ● **Zewsząd o wszystkim**

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

38 (531)
21. IX. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

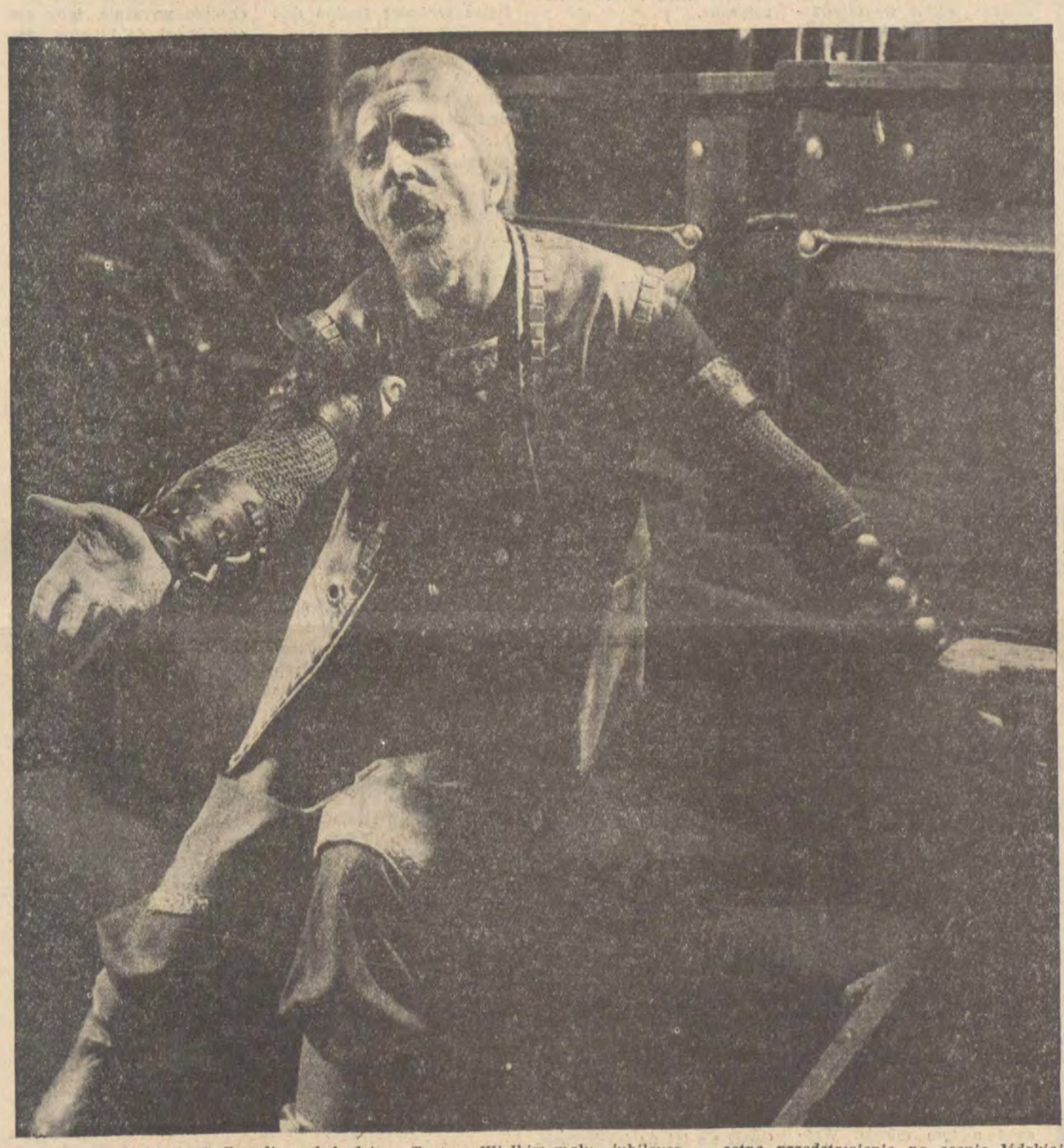

„Kniaź Igor" Borodina obchodzi w Teatrze Wielkim mały jubileusz — setne przedstawienie na scenie łódzkiej. Na zdjęciu — Władysław Malczewski w partii tytułowej — scena z aktu II.

Fot. Fr. Myszkowski

EUGENIUSZ IWANICKI

Koncert na werble

— Kapral Bolesław Smusz!
— Poległ na polu chwały...
— Kapral Mieczysław Florczak!
— Poległ na polu chwały...
— Szeregowiec Jan Adamkiewicz!
— Poległ na polu chwały...
— Szeregowiec Roger Szczepaniak!
— Poległ na polu chwały...

Pochylają się w salucie sztandary, werble rozdzierają ciszę płosząc przyczajone w gałęziach echo, słowa komendy zatrzymują w bezruchu wyprężone szeregi. Na twarzach skupienie i powaga, w niektórych oczach zabłąkane łzy. Dowódca kompanii honorowej wykonuje ruch szablą: salwy przelatują nad lasem i rozsypują się wśród drzemiących jesiennych zagonów.

☆

Reporterowi, który jak tysiące innych ludzi przybył na tę uroczystość, przypomniały się naraz inne salwy w tym lesie, przeszywające głuchym łomotem listopadowy wieczór ścięty pierwszymi przymrozkami. Na brzozach dogorywały ostatnie liście, kapiąc brązowymi kroplami na podmokłą ściółkę, zlatując w głęboki przeciwczołgowy rów, rozwieszając się na karłowatych krzewach.

Te nasze powroty do tamtych czasów są nieodłączną cząstką skażonej latami wojny pamięci. Naszemu pokoleniu nie wystarczają podręczniki historii, bowiem jak każda relacja ograniczają się jedynie do faktów. A reporter chciałby w tych zdarzeniach odnaleźć zapomniane słowa, szelest kroków na zmarzniętej drodze do leśniczówki, ciepło ludzkich oddechów. Bo zanim dokonał się fakt, poprzedziły go rozmowy, plany, długie ślęczenia nad mapą i marsz poprzez nieprzychylne rejony, podejrzliwe wioski o milczących i czarnych oknach, z poza których spoglądały strwożone lecz czujne oczy. Więc reporter chciałby wiedzieć, dojść z nimi aż do momentu gdy padły pierwsze strzały, dojść do tego obojętnego przeciwczołgowego rowu, być z nimi do końca.

1

25 listopada 1946 roku trzej wywiadowcy z referatu śledczego Komendy Powiatowej MO w Łasku z siedzibą w Pabianicach, pod dowództwem kaprala Bolesława Smusza, opuścili miasteczko. Szli przez Sięganów, Pruszków, Sędziejowice. Ich droga była długa, napotykane wioski stanowiły jedynie etapy, skąd wysyłali meldunki do Komendy Powiatowej. W końcu dotarli do Widawy, niegdyś miasta, a od 1870 r. wsi, leżącej na trasie Łask—Wieluń. Tu dołączył do nich kapral Mieczysław Florczak, milicjant z miejscowego posterunku.

Ciągnęła jesień. Wieczorami chwytał przymrozek, powietrze stawało się ostre, przejmujące. Dnie były krótkie, zmierzch zapadał nagle, szczególnie w terenie porośniętym lasami. Więc wywiadowcy się śpieszą, naprędce piją herbatę, przeglądają broń i o świcie wychodzą na drogę. Wieś jeszcze śpi, jedynie przemarznięte kundle odprowadzają ich swoim głuchym szczekaniem. Zresztą to lepiej, że wymarsz odbywa się bez świadków. Zadanie, jakie

Dalszy ciąg na str. 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kiedy Merkury przestał być bogiem

Grecy nazywali go HERMESEM, Rzymianie — MERKURYM. Patronował pasterzom, kupcom, podróżnym, żeglarzom i... złodziejom. Wyobrażano go z małymi skrzydełkami u nóg, był bowiem posłem bogów. Stąd w nazwach wielu starych polskich gazet słowo: „merkuriusz" — kurier, goniec. Przez długi czas sprawował opiekę nad bracią kupiecką i być może jego łaskom wiele zawdzięcza pan Wokulski, który był przecież i kupcem i podróżnikiem. Z czasem Merkury znudził się handlowymi sprawami ludzi i pozostawił ich samym sobie.

— Radźcie sobie jak potraficie — powiedział na odchodnem.

Chciałbym tu lojalnie przestrzec Czytelnika, że spuścizna Merkurego nie przedstawia się najweselej i jej obraz jeży się od liczb i porównań. Sądzę jednak, że kiedyś trzeba przez nie przebrnąć, aby zapoznać się z tym, co mamy, co mieć powinniśmy i jakie są nadzieje na to, że mieć będziemy.

Zatem...

NA STOLE I W KOMNACIE

W 1967 roku 49 proc. wszystkich swoich wydatków przeznaczyli łodzianie na kupno artykułów spożywczych i zapłacenie rachunków w restauracjach, barach i kawiarniach. W roku ubiegłym na te cele przeznaczono 48,3 proc. wydatków. Czy to znaczy, że tak bardzo lubimy jeść?

W statystycznym, przeciętnym łódzkim domu można znaleźć na stole chleb, bułki, ziemniaki, jarzyny, owoce, mięso i masło. Z drobiem jest już nieco gorzej. Statystyczny Polak zjada w ciągu roku 1,4 kg drobiu, łodzianin trochę więcej, bo 1,6 kg, podczas gdy każdy mieszkaniec Warszawy — 3,7 kg, Poznania — 3,1, Krakowa — 2,6 i Wrocławia — 2,5 kg. Podobnie wygląda sprawa z rybami. Nie są one zbyt częstym gościem na stole statystycznego Polaka. W ubiegłym roku każdy zjadł 5,5 kg ryb morskich i słodkowodnych. Jedliśmy więcej ryb niż każdy Czech, Słowak czy Amerykanin, tyle samo, co każdy Włoch, ale zdecydowanie mniej niż Francuz, który w ciągu ubiegłego roku spożył 9,7 kg. Statystyczny Szwed w tym czasie spożył

Dalszy ciąg na str. 5

ŚWIATA

W przyszłą niedzielę — 28 września odbędą się w NRF wybory do Bundestagu. Kampania wyborcza znajduje się więc w decydującej fazie, a dwie główne rywalizujące o mandaty partie: CDU/CSU i SPD wzajemnie poddają się ostrej krytyce. Nie zawsze jest to uzasadnione istotnymi różnicami w ich programach, choć i takie występują.

Program partii kanclerza Kiesingera i Straussa zawiera nadal wiele zimnowojennych elementów. Można nawet powiedzieć, że w ostatnich dniach zostały one szczególnie uwypuklone. Obawiając się widocznie konkurencji ze strony neofaszystowskiej partii von Thaddena — NPD, którą oficjalnie dopuszczono do wyborów, kanclerz i jego najbliżsi zaczęli gromkim głosem nawoływać do zwierania paktu atlantyckiego, tworzenia europejskich sił obronnych z wkładem NRF w postaci arsenału nuklearnego i regulowania spraw ze Wschodem dopiero w traktacie pokojowym.

Inne elementy znaleźć można w programie SPD. Socjaldemokraci większy nacisk kładą na potrzebę rozbrojenia oraz uprawiania polityki „otwarcia" na Wschód.

W ub. tygodniu burmistrz Berlina zachodniego — Schuetz udzielił dziennikowi „Berliner Morgenpost" wywiadu, w którym stwierdził, iż głoszone przez niego poglądy na temat konieczności uznania granicy na Odrze i Nysie będą zaakceptowane przez wszystkich członków SPD „najpóźniej na najbliższym zjeździe tej partii".

Bardziej wstrzemięźliwy jest przywódca SPD— Brandt, jedni twierdzą, że z powodu większego umiarkowania, a drudzy, że li tylko z powodu taktyki wyborczej. Mimo to w toczącej się kampanii jest obiektem ostrych ataków ze strony CDU.

Przysłowiowym języczkiem u wagi jest w tej sytuacji partia liberałów — FDP. Jak można zorientować się z wypowiedzi jej przywódcy — Scheela, FDP gotowa jest uczestniczyć w koalicji zarówno z partią chrześcijańsko-demokratyczną, jak i socjaldemokratyczną. Jednak marzeniem Scheela, który w 1966 roku wprowadził partię na drogę opozycji rządowej, jest wsparcie głosami swej klienteli wyborczej — SPD.

Co przyniesie dzień 28 września?

Przedwyborcze ankiety dwóm głównym partiom dają szanse wyrównane, choć w ostatnich dniach zarysowują możliwość przewagi SPD. Brandt przewiduje, iż jego partia zachowa wszystkie dotychczasowe głosy oraz pozyska nowe wśród kobiet i urzędników państwowych. Gdyby nawet prognozy te były trafne — nie wydaje się, aby w mariażu z FDP mógł powstać rząd większościowy. Najbardziej prawdopodobne jest zatem powtórzenie „wielkiej koalicji", być może jednak z przewagą, a więc i pod kierownictwem socjaldemokratów. Już taka ewentualność byłaby zwycięstwem Brandta i jego bardziej realistycznej polityki.

Na okres intensywnej kampanii wyborczej przypadła pierwsza podróż zagraniczna nowego prezydenta Francji — Pompidou. Przez dwa dni gościł on w Bonn.

Tradycyjne już jesienne konsultacje kierownictw Francji i NRF miały miejsce po okresie dotkliwych dla gospodarki francuskiej wstrząsów (nie zaleczonych do dziś), co z miejsca dawało w rozmowach przewagę Kiesingerowi. Wykorzystał ją do postawienia znów sprawy przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku. W rezultacie ustalono, że w końcu listopada odbędzie się w Hadze konferencja europejskiej szóstki i że głównym punktem obrad będzie omówienie kandydatury W. Brytanii do EWG.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że w kampanii wyborczej Pompidou zapowiadał politykę „otwartych drzwi", chociaż Francja nadal nie jest zainteresowana rozszerzeniem liczby partnerów w EWG. Zdaniem Reutera — uzależnił on bardzo wyraźnie możliwość przystąpienia nowych członków (poza W. Brytanią w rachubę wchodzą: Dania, Irlandia i Norwegia) od porozumienia w sprawie polityki rolnej.

Przedmiotem rozmów w Bonn była również europejska integracja polityczna. Pompidou do bońskich projektów zespolenia politycznych i militarnych wysiłków Europy zachodniej ustosunkował się z podejrzliwością. Stara się on unikać wplątania w sprawy, które mogłyby zagrozić francuskiej niezależności. Pod tym względem chce dochować wierności zasadom, wypracowanym przez swego poprzednika.

Klimat rozmów w Bonn był cieplejszy niż za czasów de Gaulle'a, ale pozycje polityki francuskiej wobec NRF pozostały nie zmienione.

Z innych wydarzeń tygodnia odnotujmy spotkanie w Pekinie premiera Kosygina z Czou En-lajem. Podkreślając, że jest to pierwsze spotkanie na wysokim szczeblu od prawie 5 lat, obserwatorzy zastanawiają się, czy w ten sposób nie został nawiązany radziecko-chiński dialog, którego pierwszym celem byłoby wygaszenie incydentów granicznych.

W. SŁAWSKI

Po dewaluacji franka fala narodowej dumy podniosła się w Bundesrepublice jeszcze wyżej niż po dewaluacji funta szterlinga. Rozlegają się głosy, że „siłą uderzeniową" Niemiec zachodnich stała się marka mocna jak stal i twarda niczym opoka. Brzęk tej marki przypomina jakże słodki dla ucha odgłos podkutych stalą butów Wehrmachtu. Aluzja jest oczywista. Achtung, Achtung, marka tak samo dobrze nadaje się do podboju cudzych terytoriów jak Panzerdivisionen, pod pewnymi względami nadaje się nawet lepiej.

Czy Bundesrepublika jest potęgą finansową?

Nie da się zaprzeczyć, że Niemcy odbudowali swą gospodarkę ze znajomością rzeczy. Mają zresztą w tej dziedzinie spore doświadczenie. Oni już dobrze wiedzą jak dźwignąć się z kompletnej ruiny szybko i stosunkowo bezboleśnie. Dwukrotnie przecież w ciągu jednego pokolenia wartość marki spadła niemal do zera. W 1923 roku za jednego dolara płacono w Hamburgu 8 milionów marek. Po drugiej wojnie światowej, jeszcze w 1947 roku górnik przodkowy z kopalni „Mathias Stinnes" w Essen mógł za miesięczny zarobek kupić zaledwie parę kiepskich trzewików. Faktem jest przeto, że Niemcy podniosły się z wojennych zniszczeń w zadziwiająco krótkim czasie.

Od 1955 roku roczny przyrost produkcji Niemiec Zachodnich wynosi średnio 4,5 procent. Prawie 25 procent dochodu narodowego przeznacza się tam na modernizację starych instalacji przemysłowych i na nowe zupełnie inwestycje. Dzięki nadwyżce w bilansie handlu zagranicznego Bonn rozporządza aktualnie rezerwą wolnych dewiz i czystego złota sięgającą 10 miliardów dolarów. W ciągu jednego tylko miesiąca produkuje się nad Renem 250 tysięcy samochodów osobowych, z czego 140 tysięcy idzie na eksport.

Dzięki czemu te zdumiewające rezultaty, w kraju, którego wszystkie większe, a nawet średniej wielkości miasta, były nazajutrz po wojnie niekończącym się usypiskiem gruzu? Przyczyn jest wiele i nieraz już je omawiano. Dodać by jeszcze trzeba, że w Niemczech Zachodnich od długich lat nie notuje się strajków zakrojonych na jakąś szerszą skalę. Zachodzi tam ciekawy przypadek swoistej symbiozy bossów związków zawodowych z bossami wielkiej finansjery przemysłowej. Zawarto rodzaj klasowego pokoju. Nie wiadomo jak długo on potrwa, ale trwa, i na sam dźwięk słowa Generalstreik związkowym fuehrerom jeżą się włosy na głowie. Dla związkowych szefów z Dortmundu i Duesseldorfu strajk generalny jest tym samym czym jest bomba atomowa dla wojskowych. Tak przynajmniej sami o tym mówią. Wrodzona Niemcom dyscyplina i posłuszeństwo wobec władzy, bez względu na to jaka to władza, wyjaśniają oczywiście wiele z gospodarczej prosperity. Samą jednak pracowitością i dyscypliną, samym tylko zaciskaniem pasa przez pierwszych 10 lat po wojnie, Niemcy Zachodnie niewiele by zwojowały.

Zadecydowała pomoc Stanów Zjednoczonych. Amerykanie często powtarzają: Lubimy Francję, ale nie lubimy Francuzów. Lubimy Niemców, ale pogardzamy Niemcami...

Być może, wcale to jednak Amerykanom nie przeszkodziło wpakować w Niemcy Zachodnie tylko w latach 1948—1954 przeszło półtora miliarda dolarów. Taki zastrzyk trupa postawi na nogi. Dolar ustabilizował markę i wypełnił zniszczone hale fabryczne supernowoczesnym sprzętem. I znowu pytanie, czy Bundesrepublika jest naprawdę potęgą ekonomiczną? Może i jest, choć Bogiem a prawdą daleko jej jeszcze do poziomu życia Norwegów, Duńczyków, nie mówiąc już o Szwajcarach i Szwedach. Jeśli nawet Bundesrepublika jest potęgą ekonomiczną to nie jest na pewno potęgą naukową i technologiczną, nie ona wytycza nowe kierunki w przemyśle.

Siła Niemiec Zachodnich jest pod wieloma względami krucha, słaba i mocno iluzoryczna.

Swój szczyt mają Niemcy już dawno za sobą. Pierwsze apogeum znaczenia i wielkości zanotowali przed pierwszą wojną światową. Przodowali wówczas we wszystkich bezmała dziedzinach techniki i nauki. Konkurentów bili o kilka długości. Ich dynamiczny rozwój przyprawiał angielskich lordów o bezsenność.

JAN BABIŃSKI

Zachodnioniemiecki mit

Doszło już nawet do tego, że w pewnych uczelniach Stanów Zjednoczonych wykładano niektóre przedmioty po niemiecku po to, żeby studenci mogli nadążyć za najnowszymi odkryciami w chemii, fizyce, także w optyce i mechanice precyzyjnej. Jeszcze przed drugą wojną światową przemysł niemiecki nie miał sobie równych w zakresie koncentracji. Nawet Amerykanie nie mieli koncernów tej wagi i o takich wpływach co I. G. Farben, Siemens, Krupp i Thyssen. Powoli już się o tym zapomina, że to Niemcy zapisali wtenczas na swym koncie wszystkie prawie główne i najważniejsze wynalazki.

To niemieccy naukowcy skonstruowali dla Hitlera pierwsze w świecie odrzutowce, pierwsze samoloty o zmiennym układzie skrzydeł, pierwsze obliczeniowe maszyny elektronowe i zbudowali dla niego pierwsze rakiety bojowe. A w ogóle byłby czas wielki zaniechać powtarzania bzdur, że Hitler oparł się na lumpenproletariacie i portowych alfonsach. Owszem, oparł się, ale nie tylko, bo oparł się przede wszystkim na mieszczaństwie i na chłopstwie. Oparł się też na inteligencji. Warto czasem przejrzeć listę dostojników hitlerowskich i partyjnych bonzów. Aż się na niej czerni od doktorów i profesorów z dyplomami najsławniejszych uniwersytetów niemieckich. Hitler dokonał błyskawicznych podbojów dzięki najnowocześniejszej technice jaka wtedy w świecie w ogóle istniała.

Za sukcesem „Apolla-11" kryje się nie kto inny tylko Wernher von Braun twórca V-1 i V-II. Von Braun zaczął pracę nad rakietami już w 1930 roku w Reinnickendorf na lotnisku, które już wówczas nazwano: kosmodrom — „Raumflugplatz". Generał Karl Beckier już w 1935 roku przedstawił Hitlerowi plany budowy wielkich rakiet bojowych opracowane przez von Brauna. Hitler nie okazał zainteresowania nimi. Prace jednak kontynuowano, choć priorytetu im nie dano. W 1937 roku von Braun przeniósł się ze swą ekipą do Peenemunde. Tam właśnie już w czasie inwazji wojsk hitlerowskich na Czechosłowację skonstruował rakietę, która mogła przerzucić ładunek bojowy na odległość 300 kilometrów. Berlin i tym razem odmówił większych kredytów. Rakieta miała czekać. Dla Hitlera czołgi były ważniejsze. Dopiero później pod wrażeniem udanych eksperymentów Hitler zwrócił baczniejszą uwagę na Peenemunde i w 1940 roku przyznał osobiście 27-letniemu von Braunowi tytuł profesora. Prace w Peenemunde zostały przyspieszone, produkcja rakiet przeniesiona w góry Harzu. Rzecz w którą trudno dziś uwierzyć. Gdy pierwsze rakiety V-II spadały na Londyn, von Braun miał już plany budowy rakiet międzykontynentalnych. Tej rakiety Hitler wyprodukować już nie zdążył.

Dwa dni przed wkroczeniem wojsk radzieckich do Peenemunde tę tajną bazę opuściło 300 ciężarówek, uwożąc w góry Tyrolu 5000 inżynierów i techników, 200 wybitnych naukowców i całe góry dokumentów i planów. Konwój wpadł w ręce amerykańskie. To Amerykanie dostali się również jako pierwsi do ogromnej, podziemnej fabryki rakiet w Nordhausen w górach Harzu. Na stołach montażowych znaleźli dziesiątki rakiet V-II. Spece z „US Army" przystąpili do dzieła z niesłychaną szybkością. Opróżnili fabrykę w błyskawicznym tempie. Kiedy w myśl porozumienia o strefach okupacyjnych do Nordhausen wkroczyły potem oddziały radzieckie, podziemne tunele były jak wymiecione.

Von Braun i jego przyboczna ekipa 200 naukowców przeszli bez chwili wahania na żołd amerykański. Kanclerz Kiesinger podczas niedawnej wizyty w Stanach Zjednoczonych zaprosił von Brauna do Niemiec Zachodnich. Być może Niemcy zgotują profesorowi owację jakiej w Bundesrepublice jeszcze nie było. To prawdopodobne. To przecież Wernher von Braun zdobył księżyc, tyle że za amerykańskie pieniądze... Takie przekonanie jest w Niemczech Zachodnich raczej powszechne i w gruncie rzeczy wiele przesady w nim nie ma. W niczym to wszakże faktu nie zmieni, że Niemcy tonu już nie nadają i nie oni w tej orkiestrze grają pierwsze skrzypce. Jeśli nawet von Braun wróci na tydzień w ojczyste strony to wróci jako Amerykanin. W elektronice, awiacji, atomie i na polu komputerów nawet Francuzi biją Niemcy Zachodnie wyraźnie, żeby nie powiedzieć, że biją na głowę. A właśnie te dziedziny dziś rozstrzygają o pozycji w świecie.

Niemieckie uniwersytety dawno już przestały być Mekką studiującej młodzieży, a niemieckie instytuty naukową wyrocznią. Fabryki zachodnioniemieckie pracują przede wszystkim na amerykańskich licencjach. Jeśli zaś zachodnioniemieccy badacze o czymś marzą, to o tym głównie, by co rychlej przefrunąć ocean i wylądować w jednym z tych bajecznie wyposażonych ośrodków naukowych słonecznej Kalifornii. Pieniądz nie hańbi, w Stanach płacą profesorom trzy razy tyle co w Bundesrepublice. Stąd ów rekordowy odpływ najlepszych kadr z Bonn i Heidelbergu na drugi brzeg Atlantyku. Jeśli w Niemczech Zachodnich o czymś marzy człowiek młody, ambitny i wszechstronnie na ogół wykształcony, to o tym nade wszystko jakim by cudem urządzić się na stanowisku generalnego dyrektora, albo generalnego przedstawiciela jednej z niemieckich filii amerykańskich koncernów.

Bundesrepublika ma w tej chwili dużo złota i dużo tupetu, ale rzeczywistej potęgi o wiele za mało.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **ANDRZEJ MAKOWIECKI — Płynie wino, grają saksofony**
- **WANDA KARCZEWSKA — Nieśmiertelny**
- **TERESA WOJCIECHOWSKA — „Romeo i Julia" w Łodzi**

oraz

- **„Raport z Koluszek", „Las, kobieta i inni", recenzje, felietony, nowela kryminalna**

Koncert na werble

Dalszy ciąg ze str. 1

mają przed sobą, wymaga konspiracji i niezwykłej ostrożności.

Reporter tak właśnie wyobraża sobie ten wymarsz. Ale naprawdę to nikt nie wie, jak to się odbyło, a ci, którzy mogliby o tym opowiedzieć, nie żyją. Ta czwórka nigdy nie złoży zeznań, choć od ich słów zależało najwięcej. Więc idą szybko po rozmokłej w jesiennych deszczach drodze, łamiąc kruchy lód pokrywający kałuże. Mijają Brzyków, jeszcze ciągle uśpiony i kierują się na południowy zachód. Idący przodem kapral Smusz, ani na chwilę się nie zatrzymuje. Przed zapadnięciem nocy muszą przejść przez lasy ciągnące się za Wrońskiem.

2

Od półtora roku na naszej ziemi panował pokój. Nie dudniły czołgi, niebo nie odbijało gigantycznych pożarów, umilkły działa, samoloty zaprzestały śmiercionośnych harców, żołnierze powrócili do domów, na urzędach wywieszono narodowe flagi. Wracało życie, nie od razu ustabilizowane, lecz jakże żywiołowe, z rozmachem.

Ale wojna toczyła się nadal. Rozbrzmiewały strzały, ktoś w nocy stukał w okno i odczytywał wyrok, potem wyprowadzano kogoś na drogę i powietrze zachłystywało się salwą. Lasy zaroiły się od ludzi strzelających do każdego, kto ośmielił się uznać legalną władzę. Obok tak zwanego Konspiracyjnego Wojska Polskiego, inspirowanego przez zachodnie mocarstwa, grasowały zgrupowania i oddziały skrajnych szowinistów i zwykłych bandytów. Aż w końcu nikt nie wiedział, nawet oni sami, kto jaką wyznaje ideologię, kto jest żołnierzem KWP, a kto pospolitym mordercą. Bo ta granica w krótkim czasie całkowicie się zatarła. Mordowali wszyscy. Ginęli peperowcy, milicjanci, przedstawiciele administracji, nauczyciele, chłopi. W nocy zajmowali wioski, rekwirowali, grabili, dopuszczali się gwałtów. Nękani przez Urząd Bezpieczeństwa, i żołnierzy KBW musieli działać szybko, przez zaskoczenie. Musieli terroryzować, by zmusić ludność do milczenia.

Powiat łaski nie ma naturalnych warunków do uprawiania bandyckiego rzemiosła. Można jedynie z doskoków, na krótkie wypady, na drobne terrorystyczne akcje, na jakiś pojedyńczy mord — a potem, wtopić się w lasy wieluńskie, radomszczańskie czy odskoczyć dalej, gdzieś pod Opole. Więc zasłynął złą sławą watażka „Jędruś", krwawy „Murat", bezwzględny „Bartosz IV"! Chłopi drżeli na dźwięk tych imion, chowali się przed cywilami obwieszonymi granatami i karabinami maszynowymi, unikali rozmów. Bo nikt nie był pewien, czy jego sąsiad, brat lub kum nie należy do podziemia, czy nie doniesie, nie wyda. Milczeli chłopi, kiedy zjawiali się pracownicy UB, kręcili głowami, że niby „jacy tu bandyci, panowie władza, nasza wioska jest spokojna, zajmujemy się gospodarstwem i skąd nam do polityki..."

Więc szalał „Bartosz IV", rabował sklepy, bił chłopów, wydawał wyroki.

3

Strach jest wszechmocny, strach zabija poczucie godności, poniża, pozbawia cech człowieczeństwa. Pewnej ciemnej nocy do domu chłopa we Wrońsku zastukali dwaj cywile obwieszeni granatami. Zastukali, gdyż ktoś doniósł, że chłop przechowuje oficerski mundur. Mundur był nowy, lśniące wężyki i błyszczący rząd guzików. Bandytów było dwóch — mundur jeden. Już na podwórku zaczęli go sobie wyrywać, poszły w ruch pięści, w końcu padł strzał. Jeden osunął się na ziemię, tuż przy gnojówce. Zwycięzca wdział mundur, a kolegę zakopał obok starej szkoły. Zabity był młodym chłopcem, mieszkańcem Wrońska. Długo nikt nie wiedział o jego śmierci, aż ktoś kopiąc glinę trafił na gnijące ciało. Lecz zanim przybyły władze, zwłoki zniknęły. Ludność wsi jest przekonana, że zostały pochowane pod przydrożnym krzyżem. Może nawet ma pewność... Do dzisiaj w dzień Święta Zmarłych, tajemnicza ręka zapala nad mogiłą bandyty poświęconą lampkę.

Od Widawy do Wrońska jest 15 km. Kapral Smusz prowadzi wywiadowców na śmiałą i ryzykowną akcję. Mają za zadanie odszukać i rozpracować bandę „Bartosza IV", grasującą w okolicy Wrońska, Piasków Kamockich i Rychłocic. Jak się później okazało, Bolesław Smusz posiadał przy sobie notes, w którym znajdowały się nazwiska bandytów i adresy ich melin. Rozszyfrował bandę niemal zupełnie, a teraz szedł po ostatnie dane potrzebne do opracowania decydującej akcji likwidacyjnej.

Kapral Bolesław SMUSZ, lat 39, peperowiec, konspiracyjny działacz z czasów okupacji. Wspólnie z Józefem Michalakiem zbierał dane o ruchach granatowej policji i transportach wojskowych, uprzedzał ludzi o rewizjach, ostrzegał „spalonych". Aby ukryć swoją prawdziwą działalność, prowadził w Marzeninie zakład wyrobu trumien, w których nierzadko przewoził działaczy KPP. Po wyzwoleniu zorganizował placówkę MO w Pruszkowie, następnie jako doświadczony wywiadowca przeszedł do Komendy Powiatowej w Łasku, mieszczącej się wówczas w Pabianicach. W dniu, w którym udał się na akcję, pozostawił w domu żonę i pięcioro dzieci: najstarszy syn miał 17 lat, najmłodszy 2 lata.

Kapral Mieczysław FLORCZAK, lat 31, robotnik, w czasie okupacji pracował w Karsznicach jako malarz pokojowy. Do milicji wstąpił zaraz po wyzwoleniu. Żonaty. Od daty ślubu minęło zaledwie pięć miesięcy.

Szeregowiec Jan ADAMKIEWICZ, lat 29, pabianiczanin, sportowiec, bramkarz PTC. Do milicji wstąpił po wyzwoleniu. Siedem miesięcy po ślubie. Żona spodziewała się dziecka.

Rys. M. Detyniecki

Szeregowiec Roger SZCZEPANIAK, lat 20, pochodzenie chłopskie. Do milicji wstąpił po powrocie z robót przymusowych. Chłopiec, który rozpoczął dopiero tworzyć swój życiorys.

Droga jest długa. Gdy dochodzą do Wrońska, zbliża się południe. Kapral Smusz nadaje meldunek na posterunek w Widawie. To ostatni meldunek, jaki został przekazany. Jest 25 listopada 1946 roku, godzina 10 rano.

4

W Komendzie Powiatowej MO w Łasku czekano na wiadomość od grupy zwiadowców do dnia 27 listopada. Nazajutrz w rejon Wrońska udała się specjalna grupa, składająca się z dwóch wywiadowców z KW MO w Łodzi i ośmiu z KP MO w Łasku. Plonem ich akcji była jedynie wiadomość, że w dniu 27 listopada około godziny 16.30 cała czwórka przybyła do leśniczówki i po kilku minutach wyszła, kierując się do lasu. Żona gajowego oświadczyła, że po ich wyjściu słyszała w lesie krzyki i strzały. Grupa poszukiwawcza, po penetracji lasu, wróciła z niczym.

Wysłano natychmiast drugą grupę, której także nie udało się odnaleźć jakichkolwiek śladów zaginionych.

Wówczas do lasów wrońskich skierowano trzecią grupę liczącą pięćdziesięciu ludzi. Poszukiwania trwały długo, aż 5 grudnia o godzinie 14.30 natrafiono na ciała zaginionych. Cała czwórka leżała w rowie przeciwczołgowym, przysypana ziemią. Byli w samej bieliźnie, ciała rozdarte pociskami, oczy przekłute bagnetem, straszne rany zadane czymś tępym i ciężkim. Zginęli straszną, okrutną i męczeńską śmiercią. Zostali skoszeni salwami zanim zdążyli sięgnąć po broń. Dzisiaj nikt nie wie dokładnie, jak odbył się ten mord, bowiem, ci którzy mogliby coś powiedzieć, nie żyją. Reporter przyjmuje oficjalną wersję, która podaje, że po wyjściu z leśniczówki wpadli w zasadzkę. Ale reporter nie bez zainteresowania wysłuchał również jednej z wielu hipotez mówiącej o tym, że zasadzka została przygotowana w leśniczówce, że ktoś uprzedził bandytów, że wywiadowców wyprowadzono do lasu i nad rowem dokonano mordu. Ale to tylko przecież hipoteza, jakich zawsze wiele będzie krążyć wokół każdego morderstwa.

5

Minęło wiele lat. Dwaj synowie kaprala Bolesława Smusza poszli w ślady ojca. Reporterowi udało się dotrzeć do młodszego, kapitana MO Wiesława Smusza, zastępcy komendanta KP MO w Łasku. W rozmowie z reporterem kapitan Smusz powiedział, że w jego naturze nie leży chęć zemsty, lecz zachowanie pamięci po tych, którzy polegli w obronie władzy ludowej.

W tych słowach kryje się głęboka prawda i wiele osobistej skromności. Bowiem kpt. Smusz jest jednym z inicjatorów budowy dwóch pięknych pomników we Wrońsku: potężnego obelisku i nowej szkoły. W dwudziestą rocznicę śmierci wywiadowców, 4 października 1964 roku odbyło się uroczyste odsłonięcie obelisku ze stylizowanym orłem. Na małej tabliczce słowa: „Funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej za przelaną krew — społeczeństwo. 1964". Druga tablica jest ogromna, zajmuje centralne miejsce i wyryte na niej słowa brzmią niby uroczysty i groźny motyw: „W walce o utrwalenie władzy ludowej dnia 27 XI 1946 r. polegli...".

A w dwa lata później otwierano we Wrońsku inny pomnik, pomnik naszych czasów: piękną ośmioklasową szkołę nazwaną imieniem Poległych Funkcjonariuszy MO. Budowa odbyła się pod patronatem KW i KP MO. Wybudowano ją w niezwykle rekordowym czasie: w dniu 1 kwietnia 1966 r. położono kamień węgielny, a 1 września tegoż roku, dzieci zasiadły w ławkach. To był prezent dla mieszkańców tej wsi od pracowników milicji.

6

Reporter przygląda się milczącym sosnom i brzozom stojącym na straży miejsca zroszonego krwią poległych. Jesienna cisza osiadła na gałęziach i rozłożyła się na pobliskich polach. W spokojnym smutku jesieni jest zaduma i melancholia. Wielotysięczny tłum zapełnił niemal każdy skrawek lasu. Ludzie stoją od wielu godzin, tłoczą się, chcą być bliżej pomnika. To ich hołd poległym. Manifestują swoją nienawiść dla morderców i swój szacunek dla tych, którzy oddali za nich życie. Gdzieś z głębi lasu nadleciało stado ptaków napełniając krzykiem jesienne powietrze.

Pochylają się sztandary, ludzie obnażają głowy, szare szeregi milicjantów zamierają w bezruchu. Warczą werble, wzywając poległych na uroczysty apel.

— Kapral Bolesław Smusz!

— Kapral Mieczysław Florczak!

— Szeregowiec Jan Adamkiewicz!

— Szeregowiec Roger Szczepaniak!

Ledwo dostrzegalnym ruchem kołyszą się pociemniałe liście na brzozach. Wyrwane ze snu echo powtarza wielokrotnie:

— Polegli na polu chwały...

EUGENIUSZ IWANICKI

KAROL BADZIAK

CZAS NA ROZLICZENIE

Gmach Prokuratury Wojewódzkiej dla m. Łodzi, Piotrkowska 151, pokój 6. Urzęduje prokurator Stanisław Król. Można tu w każdej chwili przyjść i oczyścić się nie tylko z grzechów młodości. Okazje stwarza amnestia, wielkoduszny akt łaski ze strony Państwa. Państwo w przeciwieństwie do człowieka nie tylko czasem wybacza, ale i zapomina.

Prawo nie jest mściwe. Ostatnia amnestia objęła również czyny nie ujawnione. Każdy może przyjść i rozliczyć się z sobą, ze społeczeństwem, zacząć nowy etap swej biografii, uczciwszy i roztropniejszy, bardziej odpowiedzialny. Czy przestępcy korzystają z tej szansy? Na razie niewielu, stosunkowo niewielu. Brak im cywilnej odwagi. Wprawdzie mają czas do końca bieżącego roku, lecz im szybciej tym lepiej. Surowi na ogół prokuratorzy reprezentujący majestat ludowej władzy, w tym roku, w roku jubileuszu PRL są wyjątkowo łagodni. Warto o tym pamiętać. Chodzi szczególnie o to, żeby pomóc ludziom osaczonym, uwikłanym, powiązanym z przestępczymi gangami. Do tego zachęca obecna amnestia.

Do pokoju prokuratora wchodzi mały człowiek, podobny do Michnikowskiego z filmu „Gangsterzy i filantropi". Jest wystraszony. Kierownik głównego magazynu na budowie. Ten musiał mieć niespokojne sny. Poranny dzwonek u drzwi nigdy mu się nie kojarzył z mleczarką, raczej z milicjantem. Pracował „w mięsie", zwolnił się na własną prośbę. Wpadł z deszczu pod rynnę. Na budowie otrzymał magazyn kompletnie nie zabezpieczony. Twierdzi, iż kilkakrotnie interweniował w dyrekcji przedsiębiorstwa, zwracał uwagę na bałagan. Bez skutku. Wreszcie zginęła mu brama. Kto mi w to uwierzy — pomyślał sobie — jak się przyznam. Wkrótce znalazł wyjście. Na rachunku RW-38 przerobił „ósemkę" na „zero", postawił w środku „przecinek" i otrzymał trzy bramy. Zaczął się nowy kłopot. Teraz miał o dwie za dużo. Trzeba je było jakoś upłynnić. Wszedł w porozumienie ze swoim zastępcą. Zastępca szybko sprawę załatwił. Przyjechał wóz, załadowano bramy, zastępca dorzucił jeszcze siatkę na ogrodzenie. Forsą się podzielono uczciwie. Za parę dni zaczęli się pojawiać faceci z propozycjami kupna innego „towaru". Zwracano się do niego jak do „swojego" człowieka. Siuchty, pijaństwo, ogólny chaos to codzienny pejzaż budowy, na której pracował. Poczucie bezkarności i pełna tolerancja ze strony kierownictwa.

Prokurator go zapewnił, że na mocy amnestii wszystko zostanie mu wybaczone, zapomniane, może wrócić spokojnie do domu. Dla niego od dziś poranny dzwonek u drzwi oznaczać będzie już tylko wizytę mleczarki.

Wchodzi następny klient, bigamista. Doszedł do wniosku, że ma o jedną żonę za dużo. Po nim kobieta, ale to nie jedna z jego żon, to starsza referentka, kierowniczka kasy zapomogowo-pożyczkowej. Pożyczyła sobie z kasy ponad 8 tys. zł, pragnie je zwrócić. Czy będzie miała z tego powodu przykrości? Nie, sam czyn amnestia obejmuje pod warunkiem, że pieniądze oczywiście odda. Opuszcza z ulgą prokuratorski gabinet. Pozbyła się garbu, który przygniatał ją od paru miesięcy. Jest szczęśliwa. Weszła zapłakana, a wyszła uśmiechnięta.

W tym przypadku widać wyraźnie jakim dobrodziejstwem jest amnestia. Dla ludzi lekkomyślnych, bez charakteru, o słabej woli amnestia jest faktycznie wielką szansą powrotu na przyzwoitą drogę życia.

Druga kobieta tego dnia, wypisz wymaluj przyszła dokładnie z podobną sprawą. Nawet suma się prawie zgadzała. Tyle, że pieniądze nie pochodziły z kasy zapomogowo-pożyczkowej. Ze łzami w oczach błagała tylko, żeby rodzina się o tym nie dowiedziała. Mąż jej jest wyjątkowo porządnym człowiekiem; chyba by jej nie wybaczył, może by ją opuścił, rozwiódł się, ona sama uchodzi w swej instytucji za rzetelnego pracownika i uczciwego człowieka. Gdyby się wydało, nie przeżyłaby tego.

Właściwie ta kobieta nie budziła we mnie sympatii. Tyle obaw, tyle obiekcji, tyle tchórzostwa i jeden wielki gigantyczny strach przed opinią publiczną, przed kompromitacją, przed utratą reputacji uczciwego człowieka, a z drugiej strony brała z kasy lekką ręką jak swoje. Czy amnestia jej pomoże zrozumieć kim była, kim jest? Tym razem jej się upiekło. Przyszła, przyznała się, wobec prawa jest w porządku. A wobec siebie? Czy po tym fakcie sama siebie nadal uważa za rzetelnego pracownika, uczciwego człowieka, przyzwoitego obywatela? Tego się nigdy nie dowiemy. Amnestia obejmuje tylko jej czyn, ale nie uwalnia przecież od wyrzutów sumienia. Smutkiem i lękiem napawają mnie ci, którzy dyskontują własną opinię ludzi uczciwych dla nieuczciwych celów.

Egzemplarzem zupełnie innego gatunku okazał się młodzieniec, który wyszedł niedawno z więzienia, siedział za kilka drobnych kradzieży. Taki mały, niepoprawny złodziejaszek. Przyszedł do prokuratora zwierzyć się z jeszcze jednego włamania, które mu uszło wtedy na sucho. Chodzi o 8 torebek wartości 1600 zł, skradzionych ze sklepu kaletniczego. Tego nie przywiodły tutaj skrupuły natury moralnej. On uznaje zupełnie inną konwencję w tej kwestii, dość odległą od powszechnie obowiązującej. Przyszedł, bo jest okazja, kto wie czy koleś, z którym brał udział we włamaniu go nie wsypie, nie przyjdzie pierwszy. Przyszedł ubiec tamtego. Większy cwaniak. Przyszedł ze świata, w którym zdrada kumpla jest tylko kwestią techniczną, a nie etyczną.

— Czy to jest wszystko co macie na sumieniu? — spytał prokurator.

— W zasadzie wszystko — odrzekł.

— W zasadzie, czy wszystko? — naciskał prokurator.

W tym momencie prokurator na chwilę opuścił pokój, zostałem sam z delikwentem. Jestem z prasy — oświadczyłem mu — możemy porozmawiać całkiem prywatnie. Osobiście radzę panu wyspowiadać się w tym gmachu ze wszystkiego. Przyznał mi się wtedy prywatnie do drobnego włamania do szkoły. Zabrał stamtąd adapter i jeszcze jakieś drobiazgi, w sumie na około 5—7 tysięcy złotych. Włamania dokonał sam, bez świadków. Dlatego właśnie nie uważał za stosowne chwalić się tym przed prokuratorem. Odniosłem wrażenie, że dla niego amnestia jest frajerstwem władz. Dlaczego nie skorzystać i oczyścić sobie konto pod nowe wyczyny? Tylko zapomina, że wtedy w razie wpadki te ujawnione i objęte już amnestią nie będą anulowane i trzeba będzie za nie odpowiadać przed Wysokim Sądem.

W obliczu prawa nieważne jest jednak jakimi pobudkami kierują się ci, którzy zgłaszają swe przestępstwa. Prokurator każde zgłoszenie traktuje jako akt dobrej woli i chęć poprawy, chęć wstąpienia na nową, uczciwszą drogę.

Jeden z magazynierów, z rozbrajającą szczerością oświadczył: „Dziś zdecydowałem się zgłosić i zameldować dlatego, że w magazynie jest akurat remanent kontrolny".

— Co robiłem z pieniędzmi? — Jasne, że nie oddawałem ich na PCK, lecz używałem dla celów osobistych, jak dancingi w „Staromiejskiej" i „Jedynej". Do innych lokali nie chodziłem.

Krew zalewa uczciwego człowieka, kiedy słucha takich wyznań. Nie mniej trzeba sobie zdać sprawę, że amnestia jest wyciągnięciem ręki, jest próbą ratowania ludzi, których chwilowa słabość, brak odporności psychicznej, czasem nawet zgoła zwykły przypadek skierowały na nie uczciwą drogę.

GRZEGORZ MICHALSKI

W WARSZAWIE „JESIEŃ"

Jaka jest Warszawska Jesień? Wydaje się, że jest:

1 — elitarna — w doborze repertuaru, ponieważ wykonuje się tu utwory **wcześniej wyselekcjonowane pod kątem** reprezentatywności dla współczesnych nurtów rozwoju muzyki na całym świecie i pod kątem ich wartości.

2 — ciekawa — bowiem daje przegląd muzyki tworzonej dla różnych celów (film, opera, balet, filharmonia) i różnymi środkami (taśma, zespoły o bardzo różnych składach od solistów do wielkiej orkiestry symfonicznej).

3 — kształcąca — gdyż każdy muzyk (kompozytor, wykonawca) może tu usłyszeć, co robią inni w dziedzinie która go interesuje, a publiczność zyskuje orientację w tym co słychać na świecie i może dokonać wyboru i oceny ciekawszych pozycji.

4 — mobilizująca — gdyż o ile zaszczytem jest, mieć wykonanie własnego utworu w ramach Warszawskiej Jesieni, o tyle nieprzychylne przyjęcie go przez publiczność i krytyków jest dotkliwą porażką.

Od pewnego jednak czasu podnoszą się tu i ówdzie głosy atakujące program festiwalu, postulujące zmianę założeń, głosy niezadowolonych. Podkreślają oni najczęściej jako wadę elitarność w doborze utworów, brak pełnej reprezentacji współczesnej polskiej twórczości muzycznej. Każdemu, kto choć trochę zna środowisko twórców, zarzut ten wyda się wielce niebezpieczny. Cóż bowiem może się kryć za takim sformułowaniem? Co rozumieją krytycy pod mianem „pełnej reprezentacji"? I czy w ogóle istnieje potrzeba nadzwyczajnego prezentowania utworów polskich w Polsce na międzynarodowym festiwalu? A może chodzi o przekształcenie tej imprezy w giełdę twórczości młodych kompozytorów? Ale wówczas sensowniej byłoby organizować ją na przykład w Paryżu.

Tymczasem organizatorzy przez lata konsekwentnej pracy zdołali doprowadzić do tego, że wykonanie utworu na naszym festiwalu ma duże znaczenie w świecie i najwybitniejsi kompozytorzy sami zaczęli zabiegać o wejście do programu, najlepsze zespoły same zgłaszały chęć przyjazdu widząc w Warszawskiej Jesieni światową giełdę współczesnej twórczości muzycznej. Wiele dzięki temu zyskał prestiż Polski, wiele zyskała Polska muzyka i przede wszystkim słuchacze. Na naszej światowej giełdzie wystartowali do sukcesów międzynarodowych m. in. Krzysztof Penderecki i Henryk Górecki, w sumie w indeksie kompozytorów programów wszystkich dwunastu festiwali znaleźć można 53 nazwiska polskie. Dosyć bezzasadnie wygląda więc żądanie większej reprezentacji twórczości polskiej. Ilościowe zwiększenie repertuaru polskiego musiałoby przecież ograniczyć ilość wykonań utworów zagranicznych, co z kolei obniża atrakcyjność festiwalu dla gości ze świata. Również nie do przyjęcia jest koncepcja lansowania na festiwalu nieznanych naszych kompozytorów, bowiem wówczas staniemy wobec konieczności bezpośredniej konfrontacji czołówki światowej z przeciętnością polską. Musi być to festiwal dla publiczności, dla dobrych kompozytorów, dla ciekawych debiutów. Przy okazji — dziwi trochę fakt, że niektóre środowiska nie chcą dostrzec w festiwalu szansy dla siebie. Czym bowiem można wytłumaczyć to, że wśród 53 polskich kompozytorów, których utwory wykonane na festiwalu, nie znalazł się ani jeden łodzianin? Być może nie ma w Łodzi mistrzów kompozycji, ale wówczas bijmy na alarm i szukajmy dróg podniesienia poziomu twórczości muzycznej. Wydaje się jednak, że nie o brak talentów tu chodzi. Ciekawe byłoby widzieć na przykład ile utworów z Łódzkiego Oddziału ZKP zgłoszonych było do Komisji Repertuarowej festiwalu? Podejrzewam, że niewiele lub żaden. A jednocześnie w Łodzi organizuje się z powodzeniem Wiosnę Artystyczną, na której okazuje się, że Łódź nie tylko ma coś do powiedzenia, ale nawet, że to coś jest całkiem interesujące.

***

Po napisaniu tego artykułu zwróciłem się do kilku osób z prośbą, aby wyraziły swój sąd o problemach tu poruszonych. Oto wypowiedzi, które udało mi się uzyskać:

PIOTR PERKOWSKI — KOMPOZYTOR, PROFESOR I KIEROWNIK KATEDRY KOMPOZYCJI PWSM W WARSZAWIE, CZŁONEK HONOROWY ZKP:

Trudno w kilku zdaniach wypowiedzieć się na temat wszystkich bardzo licznych problemów poruszonych w artykule, ale wszystkie dotyczą Warszawskiej Jesieni a więc o tym festiwalu!

Co nam przyniósł? Razem z innymi imprezami tego rodzaju trzeba tu wymienić przede wszystkim istniejący od kilkudziesięciu lat Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej — ostatni przed II wojną taki festiwal odbył się w Warszawie w 1939 roku. Otóż wszystkie te imprezy otworzyły drogę wszelkiego rodzaju nowym prądom w twórczości muzycznej, w tym również tzw. „awangardzie". Awangarda rozbiła wszelkie więzy i kryteria dotychczas obowiązujące w muzyce europejskiej, zachwiała ustalone pojęcia w zakresie estetyki. Przyniosła również wyzwolenie i nobilitację elementów rytmicznych i perkusyjnych, sublimację barwy dźwiękowej, rewolucję — wciąż zresztą trwającą i rozwijającą się — w dziedzinie zapisu muzycznych zjawisk. Czy to wszytko dobrze, czy źle? Co jest w tym pozytywnego, a co uznać należy za zjawiska negatywne? Hitoria na te pytania odpowie z pewnością, a na razie tu w Polsce zanotować należy wielki ferment intelektualny w muzycznych środowiskach, atmosferę poszukiwań twórczych w skali dotąd u nas nie znanej, wielką prężność i aktywność naszych kompozytorów, wyjście na szeroki świat muzyki polskiej i zajęcie tam szczególnie uhonorowanego miejsca. Warszawska Jesień odgrywa na tle podobnych imprez poważną, powiedziałbym — szczególną rolę. Co należałoby poprawić w organizacji festiwalu? Moim zdaniem programy układane są zbytnio pod sugestią uznanych już nazwisk (jak wiadomo najwięksi nawet kompozytorzy nie tworzą samych arcydzieł) natomiast za mało od strony rzetelnej selekcji oraz poszukiwań najbardziej interesujących pozycji. Stąd wieje nudą, szarzyzna, a często pokaz szarlatanerii. Mówię o imprezach festiwalowych, które moim zdaniem są u nas adresowane przede wszystkim do specjalistów i do swego rodzaju hob-

Kiedy Merkury przestał być bogiem

Dalszy ciąg ze str. 1

— 18,7 kg ryb, Duńczyk — 16,6, Norweg — 20,4 kg. Łodzianin zjadł więcej ryb od każdego Włocha, bo 7,2 kg rocznie.

Jemy w Łodzi więcej od przeciętnego Polaka masła i jaj, pijemy więcej mleka, ale serów jemy już mniej. Według danych z ubiegłego roku w Polsce spożycie serów wyniosło 1,9 kg na osobę, a w Łodzi — 1,3 kilograma. W Warszawie na jednego mieszkańca przypadło w tym czasie 2,6 kg, w Poznaniu — 2,7, we Wrocławiu i Krakowie — 2,2 kg sera. W miastach tych więcej zjedzono masła, jaj i więcej wypito mleka niż w Łodzi.

Nie możemy też chwalić się nadmiarem artykułów przemysłowego pochodzenia, spoczywających na półkach sklepów, a przeznaczonych do wyposażenia mieszkań. Rocznie przybywa Łodzi przeszło 22 tys. izb mieszkalnych. Każdy, kto otrzymuje nowe mieszkanie, stara się nie tylko poprawić „metraż", ale i unowocześnić jego wyposażenie. Biegnie do „Domusa" i staje bezradny. Tylko w drugim półroczu — według prognoz handlowców — zabraknie w Łodzi 6 tys. kompletów mebli, 1 200 bibliotek, 5 tys. tapczanów, 1 500 biurek oraz 16 tys. sztuk mebli segmentowych typu M-4, których producentem jest Fabryka Mebli w Wolsztynie. Do pełnego zaopatrzenia zabraknie też 1 120 lodówek „Polar-80", 3 700 odkurzaczy i przeszło 6.5 tys. kuchenek.

BEZ KOMPLEKSÓW

Każdy pragnie znać swoją wartość, swoje miejsce w świecie, choćby tym najbliższym. Łódź ma możność porównania siebie do 4 największych miast Polski. Najbliższy nam jednak powinien być **Kraków i Wrocław.** Decyduje o tym liczba mieszkańców i obszar. W Łodzi liczba ludności przekroczyła 750 tys., w Krakowie — 585 tys., a we Wrocławiu — 512 tys. osób. **Warszawa** jest nieporównywalna. Po pierwsze — jako stolica znajduje się w zupełnie innej sytuacji gospodarczej, a po drugie — inna jest wielkością. Leży na obszarze 45 km kw. i zamieszkuje ją 1.279 tys. ludzi. Mało podobny jest również **Poznań**, który wprawdzie leży na obszarze 22 km kw., ale liczy sobie 475 tys. mieszkańców, a o jego odrębności stanowi handlowy charakter miasta.

Obszar Krakowa wynosi 23 km kw., Wrocławia — 22 km kw., a Łodzi — 21 km kw. Różni te miasta charakter. Łódź jest największym ośrodkiem przemysłu lekkiego i stąd ma najwięcej kobiet wśród pracujących. Tymczasem przy ocenie zalet i wad Łodzi bierze się pod uwagę stołeczne mierniki. Wpływa na to bliskość stolicy. „Delegacyjny ekspres", który każdego dnia o 6,42 rusza z Dworca Łódź-Fabryczna sprzyja temu wyraźnie. Ułatwia kształtowanie się powierzchownych sądów, bowiem powierzchowność jest rzeczą najłatwiejszą, a porównania ze stolicą — co tu ukrywać — są właśnie powierzchowne.

Ma na to jednak wpływ nie tylko bliskość Warszawy i łatwy do niej dostęp, dzięki wahadłowo kursującym „delegacyjnym ekspresom". Swoją rolę odgrywa przeszłość, kiedy to Łódź pełniła obowiązki stolicy i kompleks niższości jaki narodził się w umysłach wielu obywateli byłej „wielkiej wsi".

— Nie jesteśmy gorsi — mówią łodzianie. Tu też jest stolica... przemysłu lekkiego.

Cóż jednak, kiedy poza stwierdzeniem tego faktu mieszkaniec drugiego miasta w kraju nie odczuwa płynącej stąd żadnej korzyści.

Pod koniec ubiegłego roku w Łodzi było 2.361 sklepów, w Krakowie — 1.702, a we Wrocławiu — 1.522. Tylko, że średnia wielkość sklepu wynosi w Łodzi 78 m kw., w Krakowie — 75 m kw., a we Wrocławiu — 92. Nie lepiej wygląda wielkość powierzchni sklepowej przypadającej na tysiąc mieszkańców: w Łodzi wynosi ona 284 m kw., w Krakowie — 302, a we Wrocławiu — 295.

Specjaliści zrobili jeszcze jedno porównanie. Stwierdzili że w Łodzi mieszka 2,3 proc. całej ludności kraju, we Wrocławiu — 1,5, a w Krakowie — 1,7 proc. Obliczyli też, że w ubiegłym roku dochód jednego mieszkańca PRL wyniósł 14.498 zł. W tym czasie jeden mieszkaniec Łodzi osiągnął dochód wynoszący 16.461 zł, Wrocławia — 14.397 zł, a Krakowa — 16.739 zł. Poza tym nie zapominajmy, że Łódź otoczona jest pierścieniem miast satelitów: Pabianice, Konstantynów, Zgierz, a w dalszej odległości osiedli — Lutomiersk, Aleksandrów, Tuszyn, Andrzejów. Wielu mieszkańców tych miast i osiedli pracuje w Łodzi, tu uczy się i tu przyjeżdża po zakupy. W tej sytuacji trzeba byłoby do skali porównań wprowadzić dość istotne poprawki. Poprzestańmy na tym, co obliczyli specjaliści.

PRZED WIELKĄ KARIERĄ

Handlową sytuację Łodzi należy rozpatrywać na dwu płaszczyznach. **Pierwszej** — mitycznej koncepcji miasta biednego, o „proletariackich" gustach, gdzie nie ma wielkiego zapotrzebowania na luksusowe artykuły i gdzie „obowiązuje" przeciętny standard. Ten pogląd, choć już całkowicie należy do przeszłości — niestety, pokutuje jeszcze wśród wielu osób decydujących o podziale krajowej puli towarów. I **drugiej** — miasta, które jest, jeśli nie producentem większości towarów pochodzących z fabryk przemysłu lekkiego, to przynajmniej tej produkcji dysponentem. Nie trzeba chyba przypominać, że tu znajduje się większość zjednoczeń, centralnych laboratoriów i instytutów tej dziedziny gospodarki narodowej. Handlowa praktyka nie bierze tego pod uwagę, a Wydział Handlu Prezydium RN m. Łodzi nie ma widać boskich mocy i żadnych kontaktów z pogniewanym Merkurym, skoro nie bardzo stać go na własne, penetracyjne inicjatywy.

W Łodzi powstaje **np. 45 proc.** wyrobów dziewiarstwa i pończosznictwa. Pracuje tu około **40 proc.** wszystkich zatrudnionych w tym przemyśle, ale wielu z nich, aby kupić swoje wyroby musi kontaktować się z krewnymi w Łęczycy, Tuszynie bądź Pajęcznie. Sztywność rozdzielników powoduje, że część poszukiwanych wyrobów — i słusznie — wędruje do sklepów „Samopomocy Chłopskiej". Rzecz jednak nie w tym, że tam idą, ale w tym, że leżą miesiącami na sklepowych półkach, że z **handlowej praktyki znikło pojęcie elastycznych przerzutów.** Na dodatek klienci łódzkich sklepów obserwują stały **spadek** wielkości dostaw.

W roku 1968 np. w Łodzi stan dostaw bielizny z podbiciem wzrósł w porównaniu z 1967 rokiem o 19,9 proc., a w Krakowie — o 33,3 proc., mebli segmentowych w Łodzi — o 5,4 proc., w Krakowie — o 45,7 proc., stan dostaw froterek w Łodzi utrzymał się na poziomie poprzedniego roku, a w Krakowie wzrósł o 66,7 proc. Niewesoło przedstawiają się też prognozy na przyszły rok. I tak dostawy sukienkowych tkanin wełnianych osiągną poziom 88,2 proc., a galanterii — 98,6 proc.

W dyskusjach o zaopatrzeniu Łodzi i jej sytuacji handlowej ciągle powraca **postulat „wizytówki".** Mówi się, że Łódź powinna być wizytówką przemysłu lekkiego. Nie jest to jednak — jakby ktoś pomyślał — rezultat kompleksu niższości miasta, które pełniło kiedyś obowiązki stolicy. Jest to **wynik ekonomicznego myślenia.** Nie przypadkiem w Łodzi narodziła się myśl stworzenia **stałego ośrodka wystawowego przemysłu lekkiego.** Inicjatywa i postulat wyrosły z potrzeb przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Nie mają one zamiaru uchylać się od udziału w międzynarodowych targach, ale odczuwają **potrzebę dysponowania stałą wystawą na miejscu.** Tu w końcu toczą się handlowe rozmowy, tu składają wizyty zagraniczni kupcy, tu chcieliby oglądać przemysłu lekkiego oferty. Niełatwa będzie realizacja tej myśli, bo jedną z przeszkód jest skromny zasób łódzkich hoteli. Tym niemniej wiąże się ona z całokształtem handlowej sytuacji miasta.

Skoro myślimy o stworzeniu stałej ekspozycji produktów przemysłu lekkiego, to **wcześniej trzeba pomyśleć o „wizytówce" dla kraju.**

— Powinno w kraju powstać przekonanie — mówią w Łodzi, że tu trzeba przyjechać, aby nabyć nowości, aby zorientować się, co aktualnie produkuje przemysł lekki, jakie ma dla odbiorców propozycje i co w najbliższym czasie może otrzymać kraj.

Jednym słowem — jest to wołanie o sklepy firmowe, o inną — sprawniejszą — organizację handlu, o inicjatywy i pomysły. Czasem są one trudne i kłopotliwe w realizacji, ale skoro Merkury zostawił nas samym sobie, to nikt za nas tego nie zrobi. A już najmniej za handlowców. Taka to już prawda, a wołanie jest ze wszech miar słuszne, pożyteczne i godne wykonania.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

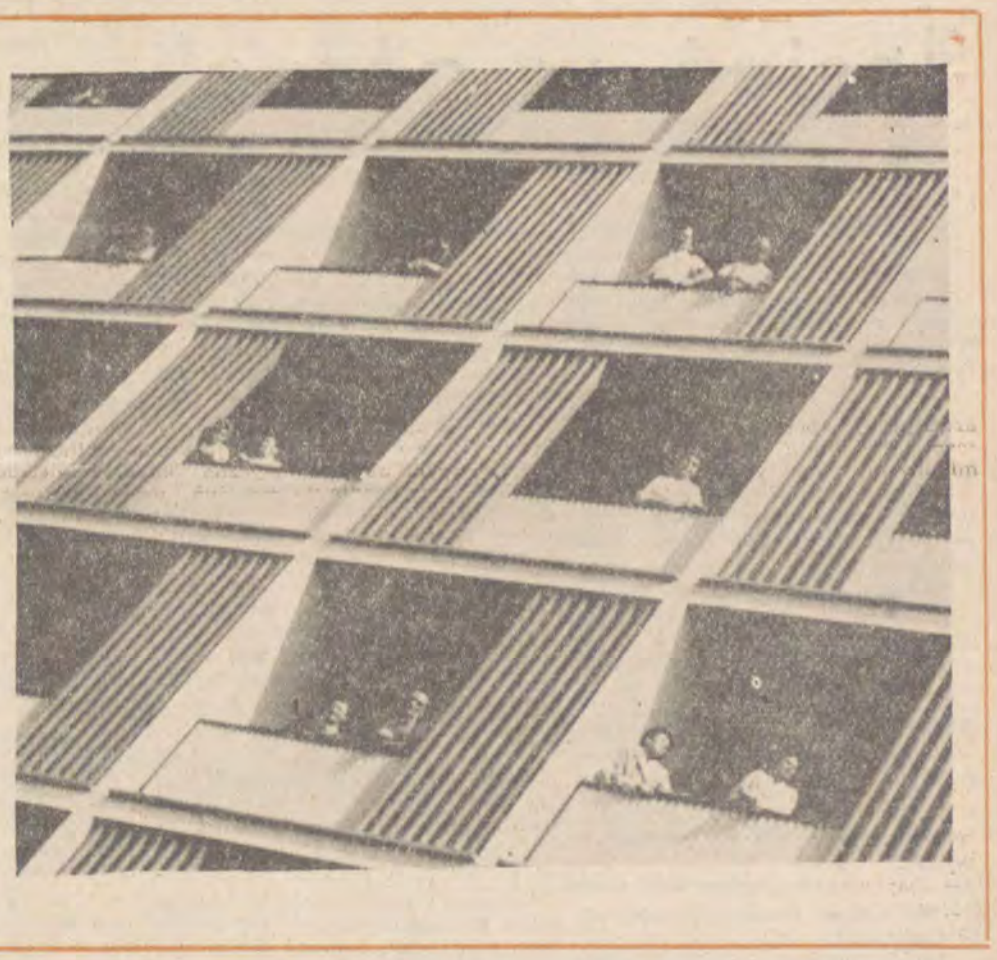

W ŁODZI PRZEDNÓWEK

Właściwie nie bardzo wiem, co mógłbym tutaj dodać. Mogę się tylko zgodzić z głównymi tezami artykułu. Dodałbym może, że ludziom mego pokolenia narzuca się porównanie sytuacji w jakiej publiczność polska znajduje się dziś, z tą w jakiej była przed wojną. Dla mnie, stawiającego trzydzieści kilka lat temu pierwsze kroki kompozytorskie, specjalnie dotkliwa była prowincjonalność naszego życia muzycznego bardzo oddalonego od głównego nurtu twórczości artystycznej. Gościliśmy wprawdzie wielu świetnych dyrygentów i solistów, ale współcześnie tworzona muzyka docierała do nas bardzo rzadko. Dziś polska publiczność ma na co dzień kontakt z najnowszymi osiągnięciami światowej awangardy. Świadomość tego sprawia mi, oczywiście szczególną satysfakcję, gdy myślę o korzyściach, jakie stąd płyną dla młodego pokolenia kompozytorów, muzykologów, wykonawców. Jednak głównym celem zabiegów Komisji Repertuarowej jest wciągnięcie szerokiej publiczności w świat aktualnie tworzonej muzyki. Wydaje mi się, że dzięki festiwalowi i poprzez festiwal zrobiliśmy dobrą robotę, ale żeby wszystko to nie poszło na marne, trzeba dalej pielęgnować nawiązane kontakty, podtrzymywać rozbudzone zainteresowania. Dlatego wymagania, zawsze bardzo wysokie, nie mogą obniżyć lotu. I nie można twierdzić, że każdy, kto wystarczająco uparcie będzie starał się wcisnąć do programu Jesieni, otrzyma tam miejsce. Tak na pewno być nie powinno, bowiem talent muzyczny to znacznie więcej niż tylko inicjatywa, choć bez inicjatywy trudno talent rozwinąć.

WITOLD LUTOSŁAWSKI — KOMPOZYTOR, CZŁONEK KOMISJI REPERTUAROWEJ „WARSZAWSKIEJ JESIENI":

bystów. Warto by zastanowić się nad rozszerzeniem ram festiwalowych, jego programów z myślą o zagranicznych turystach etc...

MARIA KŁOPOTOWSKA, SEKRETARZ FESTIWALU:

Dlaczego nic nie piszecie o trudnościach festiwalu?! Czy Pan sobie zdaje sprawę jak ja się muszę gimnastykować przy naszych ograniczeniach finansowych i organizacyjnych, ażeby zapewnić „na mur" przyjazd niektórych zespołów? Kilka dni temu Francuzi przysłali zawiadomienie, że niestety, nie mogą przyjechać i życzą nam wielu sukcesów! Wydawca jednego z kompozytorów rumuńskich zażądał aby prawykonanie utworu przewidzianego w naszym programie odbyło się w NRF i w ten sposób straciliśmy prawie pewną pozycję. Co prawda nie musimy się teraz biedzić nad tym, gdzie zmieścić debiut p. Kwiatkowskiego i z powodzeniem mieści się wykonanie Zbigniewa Bargielskiego. Co roku zresztą mam jakiś polski debiut.

Często się zdarza tak, że utwór nie przechodzi przez sito Komisji Repertuarowej ze względów „pozamuzycznych", jak nieosiągalny aktualnie skład zespołu, zbyt długi czas trwania i takie kompozycje leżą Komisji kamieniem na sercu i czekają w kolejce czasem dwa lata i dłużej. W tym roku wykonamy na przykład utwór angielskiego kompozytora Tavener'a „Wieloryb", który nie wszedł w ubiegłym roku do programu festiwalu SIMC. Jest to z pewnością dobra i ciekawa kompozycja. Faktem jest natomiast, że kompozytorzy z terenu przysyłają nam bardzo mało prac, stąd też mało ich wykonań. Przy okazji chcę przypomnieć, że Komisja Repertuarowa bierze pod uwagę i ocenia partytury nadesłane w terminie do 1 marca.

Ranga festiwalu z pewnością jest duża, ale działa tu niestety mechanizm znany i z innych dziedzin życia: dopóki kompozytor nie stanie się sławny — do bija się do nas, potem, kiedy zdobędzie uznanie, chce żeby starano się o niego.

HENRYK SCHILLER — SEKRETARZ GENERALNY ZKP, TEORETYK, REDAKTOR PROGRAMU WARSZAWSKIEJ JESIENI:

Poruszył pan tu wiele problemów istotnych dla festiwalu, ja jednak chciałbym zwrócić uwagę na inne zagadnienie, które wydaje mi się równie ważne, ale które rzadko jest podejmowane przez prasę. Nie wszystkim zapewne wiadomo, że Warszawska Jesień ma do tej pory nieokreślony status prawny. Jest to kolosalną przeszkodą w pracach organizacyjnych. Wynika z tego brak stałego budżetu, brak z góry określonej puli dewizowej i w konsekwencji wiele przypadkowości i improwizacji w działaniu. We mnie uderza to szczególnie mocno, gdyż teoretycznie prace przygotowawcze do zamknięcia programu trwają do końca czerwca, tymczasem często jeszcze we wrześniu dokonywane są zmiany, które wywracają całą robotę „do góry nogami".

Na tle tych tak wielkich trudności należy podkreślić, że fakt, iż festiwal przez tyle lat działa sprawnie i rozwija się jest zasługą grupy ludzi zasiadających społecznie w Komisji Repertuarowej i dwóch pań w sekretariacie, które spełniają obowiązki dyrektora artystycznego, sekretarza, często pomysłodawcy i realizatora pomysłów innych.

***

Z pewnością nielatwo jest dać jednoznaczną ocenę dotychczasowego dorobku festiwalu, różne są jego bolączki i różne możliwości dalszego rozwoju — być może nawet niektóre przytoczone tu opinie są kontrowersyjne.

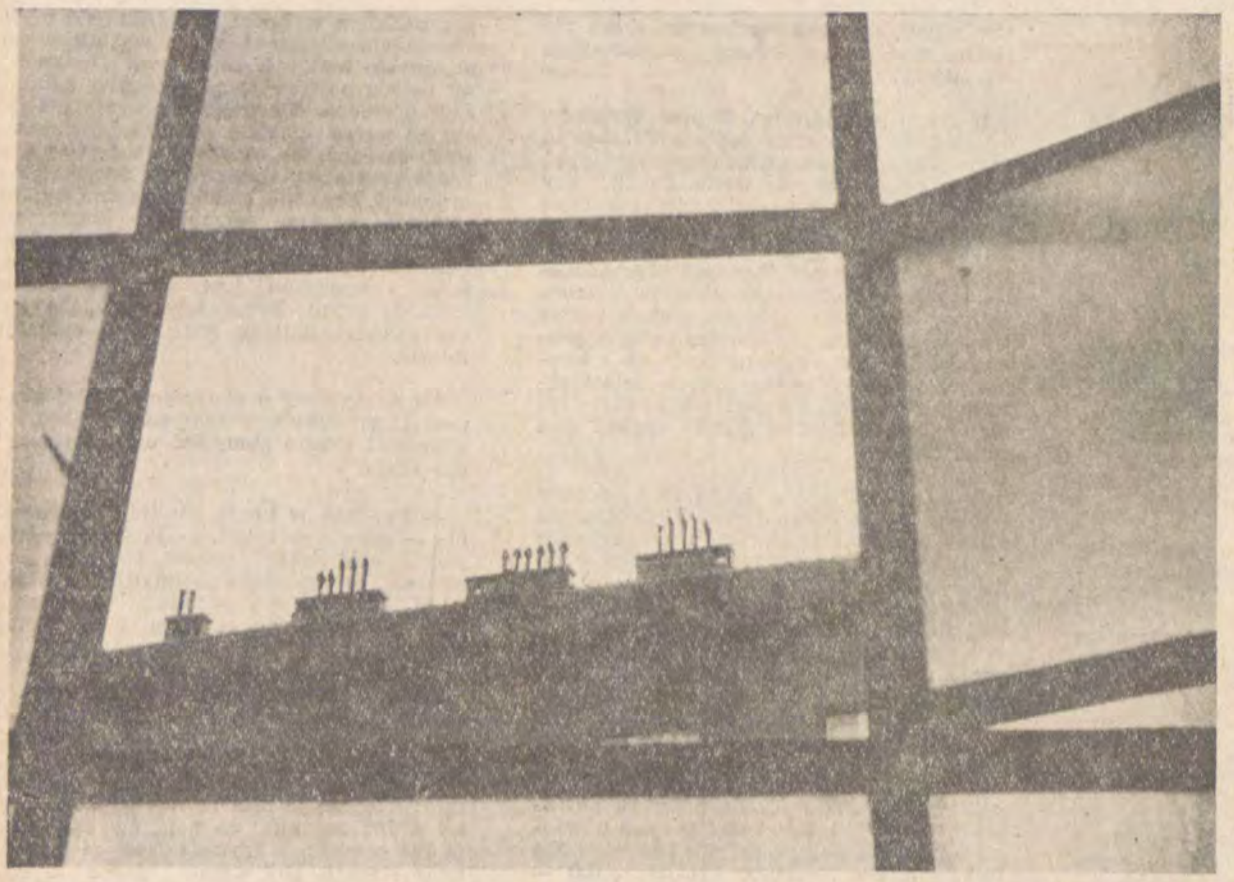

Jan Huszcza

Jesień w górach

(Dokończenie)

Pełem deszcz przestał nagle padać, od razu zajaśniało słońce. Tu pogody zmieniają się inaczej niż na nizinach. I ludzie wyroili się. Poszedłem na spacer, potoczki wezbrały, bura woda mknąca po kamienistym dnie przypominała, dzięki owym kamieniom, niedokładnie splecione warkocze.

Czerwone i brązowe liście błyszczały odświeżone, jakby pociągnięte wernikserm.

W drewnianej, obszernej pijalni było tłoczno, poschodzili się wszyscy, nawet nie pijący, żeby słuchać muzyki, gapić się i przeciskać.

Zauważyłem panią Annę, ale nie była sama, stała w grupce jakichś pań i panów, więc tylko szarmancko się ukłoniłem. Nie oddalałem się zbytnio od tej grupki, dyskretnie krążyłem w pobliżu, w nadziei, że w końcu moja urodziwa podejdzie do mnie. I wreszcie tak się stało. W plastykowej torebce oprócz kubka miała swego Manna.

— Nudzi się pan?

— Ja? Czasem lubię być samotny w tłumie.

— Może więc naruszyłam samotność?

— Nie wszyscy naruszający samotność są niepożądani.

— Ależ tu zrobiło się duszno.

— Może pójdziemy na kawę?

Jeszcze mieliśmy nieco czasu przed kolacją, której godzina we wszystkich domach wypoczynkowych i sanatoriach była ta sama, więc znaleźliśmy miejsce tylko w ogródku, pod kolorową markizą, choć trochę dokuczał chłód, nadciągająca noc.

Zaczynam opowiadać o Paryżu, gdyż nie tak dawno przeczytałem uważnie aż dwie książki o tym rozjarzonym światłami mieście, w którym wszyscy od rana piją wino.

Widocznie opowiadałem dość żywo i tak, jakbym tam kiedyś był, gdyż pani Anna słuchała z zainteresowaniem, zadawała pytania.

Ponieważ spostrzegłem parę od wspólnych posiłków, niby to w ferworze opowiadania ująłem Annę za rękę, żeby nadać nam charakter intymności. Niech wiedzą, ciotki, że moje odosobnienie w domu wczasowym ma swoje naturalne przyczyny.

Umówiliśmy się, że jutro pojedziemy do sąsiedniej miejscowości wczasowej.

Spotkaliśmy się na przystanku autobusowym.

Okazało się, że droga była zachwycająca. Trwała zresztą krótko. Szosa wiła się serpentyną między wzgórzami, nad którymi unosiła się lekka mgła. Potem szosa znalazła się nad urwiskiem, nisko płynął Poprad. Ktoś siedzący przed nami, głośno poinformował swoją sąsiadkę:

— Za Popradem zaczyna się Słowacja.

Spojrzałem z nowego rodzaju ciekawością. To właściwie zabawne: po naszej stronie mieliśmy szczyty uwieńczone lasami, po lewej, w dole tory kolejowe i rzeczkę, za którą ciągnęły się łąki, znajdowała się wieś czy miasteczko z kościołem. I to była granica chociaż, przynajmniej na oko, wszystko takie samo. Różnice mogły się ujawnić dalej, gdzieś w głębi. Powiedziałem do pani Anny, że tak niegroźnie wyglądają wszystkie właściwie granice, a przecież tyle razy o nie właśnie, choć nie o tę, toczono śmiertelne spory i walki. Sam kiedyś jechałem samochodem przez sosnowe laski w kierunku na Piłę. W pewnym miejscu mój szef, człowiek o dziesiątek lat ode mnie starszy, kazał zatrzymać wóz. Wysiedliśmy i wtedy on powiedział:

— Czy pan wie, że w tym miejscu przebiegała dawna granica polsko-niemiecka. Gdzieś tutaj zginął mój brat.

Nie wiedziałem i rozglądałem się po lesie z natężoną uwagą w nadziei na coś szczególnego. I nic.

To była miejscowość prawdziwie górska: domy i sanatoria rozrzucone, często ukryte wśród drzew na zboczach, wystarczyło zejść z szosy, która tu pełniła funkcję jedynej właściwie ulicy, by stwierdzić, że pięła się do góry.

Łaziliśmy z przyjemnością ze dwie godziny. Raz zapomniałem się i powiedziałem „pani Zosiu", zostałem jednak zgromiony:

— Jestem ANNĄ. Tak jak Karenina... Przynajmniej dla pana.

Po tych słowach pani Zosia, przepraszam: Anna, roześmiała się, może nawet ironicznie.

W drodze powrotnej zastanawiałem się: ironicznie czy zwyczajnie?

Eee, co mi tam! Do końca wczasów niedaleko. Po wyjściu z autobusu przypomniałem sobie swój kawałek:

„Uwagę wszystkich zwracała dobrana para: on wysoki z nieznaczną siwizną na skroniach, zawsze z parasolem, ona o twarzy bogini, szlachetna w ruchach. Z tego, jak się do siebie zwracali, widać było, że nie są małżeństwem, ale raczej opuścili na jakiś czas swoje właściwe życie, spędzane oddzielnie od siebie i gdzie indziej. Może spotykają się co roku tylko tutaj, zazdrośnie strzegąc swojej tajemnicy?"

— Zrobimy załącznik do sprawy rozwodowej?

Moje marzycielstwo zostało brutalnie przerwane przez natrętnego fotografa ze starym psem — bernardynem.

Chciałem ostro odpowiedzieć, ale pani Anna zapytanie przyjęła życzliwie, patrzyła na mnie wyczekująco.

Cóż, stanęliśmy na tle muru z kamienia, czerwieniejącego bluszczem.

Pani Annie nie tylko podobało się pozowanie z psem, ale na dodatek narzuciła na plecy góralską cuchę. Była bardzo zadowolona ze swego pomysłu, choć wątpię, czy świadczyło to dobrze o jej smaku.

Monotonia i nuda, cholerna nuda. Uważam jednak, że za późno na zmianę sposobu bycia. Trzy godziny łaziłem po lesie. Choć to trzeci października, rozebrałem się do pasa, ażeby skóra oddychała. Zacząłem szukać grzybów, bo jak się znajdzie pierwszego, to już oczy nie chcą oderwać się od mchu, zżółkłego listowia, misternych wachlarzy paproci o kolorze miedzi.

Znalazłem sporo maślaków, kilka koźlarzy i nawet jednego borowika. W miasteczku oddałem je kobiecie, wyglądającej na gospodynię domową.

Gorzej z pieniędzmi. Mam ich trochę na książeczce PKO, ale nie liczyłem się z tym, że będę musiał coś z nich uszczknąć. Czy zostanie na rower dla Stasia?

Słońce pojawia się rzadziej, jest niemrawe, częściej za to padają deszcze, dobrze, że na ogół przelotne. Bywa zimno. Z rana zdarzają się przymrozki. Wtedy dobrze iść po chrupiącej pod nogami trawie. Miejscowość z dnia na dzień staje się tubylcza. Przedtem tubylców prawie się nie zauważało, choć ocierali się tak samo o nas i dzięki nim mogliśmy beztrosko wypoczywać lub leczyć się i paradować z poczuciem swojej inności.

Nawet nie bardzo żałowałem, że zbliża się dzień wyjazdu. Mając to na uwadze, powiedziałem do Anny:

— Spotkamy się wieczorem?

— Chyba nie.

Nie pytałem o przyczynę, ale ona sama wyjaśniła:

— Przed wyjazdem chciałabym uporać się z Mannem.

— Cóż... To ja dziś spróbuję połączyć się z Warszawą. Niech przyślą po mnie wóz. Nie chcę wracać pociągiem, wolę w drodze powrotnej trochę przyjrzeć się Polsce... I panią, Anno, zabiorę! — podbiłem bębenka, myśląc, że co to szkodzi, znajdzie się przyczyna, tłumacząca brak wozu.

Pani Anna na moment się speszyła.

— Nie jadę wprost do Warszawy. Postanowiłam jeszcze odwiedzić siostrę w Rzeszowie.

A to ci klops! To ona też mieszka w Rzeszowie. Jaki ten świat cholernie mały!

Przyjrzałem się sobie w lustrze. Nieźle się opaliłem, jakże zyskałem na wyglądzie. No, po prostu dżentelmen. I w tej chwili ze smutkiem pomyślałem, że wczasy się kończą. Jednak tutaj jestem kimś. A tam znowu szarzyzna.

Postanowiłem, by wieczorem pojechać na Górę Parkową, gdzie znajduje się najdroższa restauracja z dancingiem. Usiądę samotnie przy stoliku pod oknem i będę w zadumie spoglądał na ciemniejące za szybami świerki, będę ironicznie obserwował tańczących, zwłaszcza zamożne panie ubierające się drogo, a bez gustu, bo najczęściej takie mają pieniądze, będę patrzył na te podrygi i łamańce, które w mniemaniu je wyprawiających mają być efektowne.

Choć przed kasą kolejki stało zaledwie parę osób, jakiś facet zapragnął wyskoczyć przed nas, widocznie wydawało mu się, że wagonik za chwilę ruszy.

Myśląc o tym, jak będę siedział przy stoliku, wyróżniając się samotnością, w roztargnieniu zawołałem:

— Co pan udajesz chama?

— Ja? Udaję? — w głosie sprzed okienka kasy brzmiało szczere zdziwienie.

Jakiż ze mnie bęcwał. Cham przecież był prawdziwy. Tych prawdziwych nigdzie u nas nie brakuje. Nawet na wczasach, gdzie nie trzeba się śpieszyć i na ogół łagodnieją nawyki. Ponieważ jednak poparły mnie jakieś dwie panie, zmusiliśmy chama, żeby stanął za mną. Coś dogadywał, ale się nie odzywałem.

Wszedłem w czasie, gdy zawzięcie tańczono. Znalazłem wolny stolik właśnie pod oknem. Zastanawiając się nad tym, co zamówić by nie wypadło drogo, wśród tańczących przed niszą dla orkiestry zauważyłem Annę. Jaką znowu Annę, Zosię!

Była po raz pierwszy w spodniach. Choć nieszczupła, podobnie jak Karenina, ruchy miała energiczne, szybkie, wyglądało, jakby nie twistowała w miejscu. Uśmiechała się przy tym do partnera, którego widziałem od tyłu, jak twistowanie ledwie markował.

Nim się spostrzegłem, nim podjęłem decyzję, by niepostrzeżenie wyjść, zauważyła mnie ,więc się ukłoniłem, ale zdawkowo, oziębie.

Orkiestra przestała grać. Rozchodzono się do stolików. Wróciła z partnerem do większego towarzystwa. Coś tam jeszcze wypiła, a potem podeszła do mnie. Była zła.

— Uzyskał pan połączenie z Warszawą?

— Niestety, czekanie trwało zbyt długo, więc się zniecierpliwiłem.

— Nie prosi pan, żebym usiadła?!

— Ależ jak najbardziej! — zerwałem się, najuprzejmiej podsuwając fotelik. — Jak tam Mann?

— Czort z nim! — zdążyła widocznie tego podpić. — Jak tam wóz z Warszawy?

A więc nie wierzyła. Wszystko było stracone. Nie panując nad sobą zawołałem:

— Markiza, co wódę kaszanką przegryza.

Nie została mi dłużna:

— Hrabia, co psy obrabia!

Roześmiała się, śmiała się długo, wyzywająco.

Co tam! Zamówiłem butelkę wódki i dwie duże kawy.

Przed piątą czy szóstą kolejką zaproponowała wypicie na ty.

— Zosiu!

— Karolku!

Raz zatańczyliśmy, była teraz ociężała, bez wigoru. Gdy wracaliśmy do stolika, powiedziała:

— Jeżeli rzeczywiście mieszkasz sam w pokoju, to chodźmy!

Na dole było bezwietrznie, światła latarń złociły gałęzie bliższych drzew.

Szliśmy szybko, zniecierpliwieni. Ale chwilami było mi głupio, że nie wyjechałem o dzień wcześniej.

HENRYK HARTENBERG

(Z WIERSZY BUŁGARSKICH)

Dialog trwający od wieków

Już cień oliwki nakłada się na drogę
Już w odpryskach szyby
Zapłonęło światło —

Posłuchaj —
Nie bądź uparty — Za chwilę wiatr
Wyjdzie z kropli Wielkiego Morza —
Ochłodzi skały i owoc na niskim drzewie —

Za chwilę spali się dzień i ulewa
Kroplami gęstego milczenia uderzy w czerwień dachu —
Przesłoni gniazdo wtulone w dym —

Spójrz —
Już cień oliwki przesunął się na skraj drogi
Zdążającej ku otwartej nocy —

A więc —
Nie bądź uparty — mój dobry — mój cierpliwy
Pójdziemy tam —
Gdzie prawo szumiącego Lasu i Jedynego drzewa —
Na granicy ziemi nieba i morza —
Gdzie prawo Światła — wywodzącego się z ognia
Schodzi w samo dno Wieczornej mgły —
Gdzie oczekiwanie styka się z cienką strużką krwi
Płynącej przez serce Kamiennego Lasu —
Gdzie bieleje sól — czerwona od miąższu pękającej kory —
Gdzie ptaki usypiające
I czoło wtopione w ciemność —

W oknach dopala się światło
Już dziecko śpi —
Już cień wessał kołyskę —
A ja ukrywam w niespokojnych dłoniach
Wielkie serce Czarnej Wody —

Widzisz —
Tam — za wilgotną gwiazdą i niemym brzegiem —
Za przełęczą — winnicą i gąszczem drzew —
Tam —
W mrocznej głębi —

Wzywam jej Imienia —

Przypnij więc skrzydła do chudego grzbietu
Osiołku mój drogi
Osiołku uparty —
Osiołku cierpliwy —

Jesteśmy tak bardzo niedoskonali —

Varna — Łódź 1967 r.

Przeszłość i teraźniejszość

Anatomia kłamstwa

Nie wątpię, że książka ta będzie miała bardzo dobre recenzje. Porusza problemy historyczne i polityczne, które obchodzą chyba każdego Polaka, bez względu na różnice polityczne i światopoglądowe. Autor starał się w niej przedstawić zarys dziejów rozumianej najszerzej propagandy niemieckiej, skierowanej w istocie przeciwko naszemu krajowi i naszemu narodowi. Choć książka dotyczy przede wszystkim doby imperializmu, a zwłaszcza okresu po I wojnie światowej, autor sięga wstecz aż do czasów frydery kowskich. Trudno o ważniejszy, bardziej aktualny temat.

A jednak sądzę, że książka ta nie w pełni zasługuje na pochwałę. Nie dlatego, bym nie widział znacznego wysiłku, jaki Tadeusz Kuta włożył w jej opracowanie. Nie dlatego, bym sądził, że autor podał w niej nie sprawdzone, niewiarygodne informacje. Nie dlatego, bym kwestionował potrzebę napisania takiej książki, bym nie rozumiał potrzeby informowania najszerszych kręgów naszego społeczeństwa o rzeczywistym kształcie zagrożenia niemieckiego wczoraj i dziś. Nie dlatego wreszcie, bym odmawiał prawa ambitnemu publicyście podjęcia takiej właśnie polityczno-historycznej syntezy.

Przeciwnie, sądzę, że do napisania tej książki szczególnie powołany był właśnie Tadeusz Kuta, z powodzeniem specjalizujący się w problematyce najnowszych stosunków polsko-niemieckich, wyróżniony za swoje poprzednie publikacje nagrodami Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i „Polityki".

A jednak? A jednak ta książka mu się nie udała. Powstała za prędko. Za wiele w niej dziennikarskiego wszystkoizmu, pragnienia przelania na papier wszystkiego, co podsuwa życie, za mało analizy, za mało refleksji. Za wiele szczerej pasji w porównaniu z obowiązującym autora... oczytaniem. Zbyt prosta jest zaprezentowana przezeń wizja i zbyt proste są jego interpretacje.

Dowody? Proszę bardzo — można ich podać stanowczo zbyt wiele. Oto rozdział II — w rzeczywistości zaś I bo ten, który otwiera tom ma charakter wstępu — p.t. „Ideologia w negliżu". Jakże łatwo rozprawił się tu autor z owymi propolskimi nastrojami w Niemczech w latach trzydziestych XIX wieku! A przecież prosiłoby się tu o analizę sił społecznych, tak, klasową. Oto nazwisko Heinricha Treitschkego — i słusznie, trzeba o nim powiedzieć jako o hakatyście w historiografii, ale dla czego podawać tytuł jego wcale nieistotnego dziełka, podczas kiedy najważniejsza praca, będąca po dziś dzień biblią niemieckiego nacjonalizmu nie została nawet wspomniana? To samo ze Spenglerem. Żyje jeszcze wielu ludzi, którzy byli naocznymi świadkami owej fascynacji „Zmierzchem Zachodu", książką, dzięki której niemiecki historiozof „stał się tak głośny, jak Einstein ze swoją teorią względności, Freud jako twórca psychoanalizy i jak Bergson — odkrywca „ewolucji twórczej." (A. Rogalski). Coś się wie o spengleryzmie, ale trzeba by sprawdzić, na czym on polegał. Najwięcej zastrzeżeń budzi we mnie rozdział IV, zatytułowany „Nauka w służbie polityki". Nie dlatego bym kwestionował jego zasadniczą tezę. Wprost przeciwnie — dlatego, że uważam, iż autor mógł ją znacznie lepiej udokumentować. Najsłuszniej zwraca on uwagę na to, jak historiografia i publicystyka historyczna niemiecka służyły polityce wschodniego ekspansjonizmu. Szkoda tylko, że pośród przytoczonych przykładów zabrakło wielu ważnych, bodaj czy nie najważniejszych, tych, z którymi sami Polacy najczęściej polemizowali. Gdzież choćby słówko o Heinrichu Syblu, duchowym ojcu całej historiografii utrzymanej w duchu pruskim, do dziś uznawianym i czytanym w Niemczech zachodnich, gdzież choćby wzmianka o twórcach Ostforschungu, z mediewistą Albertem Brackmannem, archeologiem Bolko von Richthofenem i wielu, wielu innymi na czele, o Kurcie Luecku i jego antypolskich publikacjach.. Ile można by tu napisać o politycznej wymowie przeróżnych koncepcji historycznych, nieraz odnoszących się do bardzo odległych czasów, takich jak teoria o roli Germanów w genezie państwa polskiego, czy koncepcja o patrycjacie Bolesława Chrobrego. Tą ostatnią interesował się sam Heinrich Himmler — i to nie z zamiłowania do średniowiecza. Jak wiele informacji, potwierdzających zasadniczą tezę swej książki znalazłby autor w dyskusjach i polemikach, jakie przed i po wojnie toczyli z szowinistyczną historiografią niemiecką czołowi polscy uczeni, z Zygmuntem Wojciechowskim, Kazimierzem Tymienieckim czy Józefem Kostrzewskim na czele! Gdyby autor o tym wszystkim wiedział, nie dziwiłby się wywodom o niemieckim księciu Dago, który miał „założyć" państwo polskie...

*Mierzyć siły na zamiary — świadczy to o autorskiej ambicji. Ale tak żywe w naszym kraju zamówienie społeczne na publicystykę historyczno-polityczną o zagadnieniach polsko-niemieckich nie może w niczym usprawiedliwiać puszczania w obieg publikacji niedopracowanych. Przeciwnie — winno ono skłaniać do jak najrzetelniejszego wysiłku. Nie uważam książki Tadeusza Kuty za całkowicie złą — bowiem wiele w niej cennego materiału i trafnych obserwacji — ale uważam ją za publikację niedojrzałą i niedopracowaną. Dostrzegam w niej nie tylko wskazane tu jedynie częściowo luki materiałowe czy nieścisłości dokumentacji. Sądzę, że zadaniem autora winno być nie tylko przedstawienie dziejów niemieckiego „polakożerstwa", lecz także wyjaśnienie, dlaczego tak się działo, że w kraju, który był przecież kolebką demokracji i socjalizmu, który wydał tylu myślicieli i artystów, tylu filozofów i rewolucjonistów, mimo wszystkich najostrzejszych wewnętrznych społecznych i politycznych sprzeczności, nawet demokraci i liberałowie, gdy przyszło im wpływać na bieg dziejów, spoglądając na Wschód stawali się spadkobiercami idei Fryderyka II; dlaczego „Drang nach Osten" i wrogość do narodu polskiego mogły być tak długo identyfikowane z niemiecką racją stanu. Wyjaśnienie takie dałaby głęboka klasowa analiza zaobserwowanego zjawiska *).*

JÓZEF GRZELAK

*) Tadeusz Kuta, *„Anatomia kłamstwa"*, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1968, stron 383 i ilustracje. Czytelnika razi niechlujna korekta książki, co niechybnie obciąża wydawnictwo.

Przeszłość i teraźniejszość

Półka z książkami

POŻEGNANIE Z AFRYKĄ

„Gdy człowiek raz uchwyci rytm Afryki, stwierdza potem, że powtarza się on w całej muzyce kontynentu. To, czego nauczyłam się od zwierząt, przydało mi się także wtedy, gdy miałam do czynienia z miejscowymi ludźmi... Po zetknięciu się z rodowitymi mieszkańcami Afryki dostosowałam rytm swojego codziennego życia do tamtu afrykańskiej orkiestry". Te słowa napisała duńska pisarka Karen Blixen (pseudonim Isak Dinesen) w swojej książce „Pożegnanie z Afryką", która ukazała się po raz pierwszy w 1937 roku, w Anglii i odniosła niebywały sukces. Karen Blixen spędziła 20 lat w Kenii na farmie specjalizującej się w uprawie kawy. Farma położona u stóp gór Ngong, między rezerwatem wojowniczych i dzikich Masajów a terenami budującej się stolicy Kenii — Nairobi, stała się z czasem jej wielką miłością. Miłością wielką i odwzajemnioną stała się dla Karen Blixen cała Afryka. Jej ziemia, zwierzęta i ludzie. Karen Blixen uchwyciła rytm Afryki i nosiła go w sercu do końca życia; nie pożegnała się z nią nigdy naprawdę. Niepowodzenia ekonomiczne i wreszcie ostateczne bankructwo farmy zmusiły Karen Blixen do powrotu do Danii. Napisała wtedy swoją książkę, w której zawarła wielkie wyznanie miłości do Czarnego Lądu i jego mieszkańców — ludzi o czarnej skórze, których poznanie wspaniale powiększyło jej własny świat. Ta przedstawicielka rasy kolonialistów była pierwszym pisarzem w skali światowej, który dostrzegł wśród afrykańskiego krajobrazu, w afrykańskiej egzotyce człowieka — pierwotnego mieszkańca tej ziemi i prawowitego jej gospodarza. Kiedy Ernest Hemingway otrzymał w 1954 roku nagrodę Nobla, powiedział: — „Czułbym się szczęśliwy, gdyby nagroda przypadła Isakowi Dinesenowi". Czuł bowiem, że autorka „Pożegnania z Afryką" dostąpiła szczęścia prawdziwego natchnienia — zespoliła się z ziemią i ludźmi, o których pisała. Bankructwo finansowe farmy wygnało Karen Blixen z umiłowanej krainy, ale uczyniło z niej wielką pisarkę.

A. G.

Karen Blixen „Pożegnanie z Afryką", „Iskry" 1969, cena 9 zł.

OPOWIASTKA FILOZOFICZNA

Józef Ozga-Michalski. Jak wiele to nazwisko mówi. To przecież kawał historii ruchu ludowego — pierwotnie w Kieleckiem, a później w całym kraju. To człowiek pełen mądrego optymizmu i rzetelnej pracowitości. Poeta dużej miary — Kasprowicz Gór Świętokrzyskich. To również prozaik, reporter, tłumacz, człowiek zakochany w języku ojczystym.

„Młodzik *) jest wbrew tytułowi książką bardzo dojrzałą, napisaną w tym gen re, o którym zwykliśmy mówić — absolutna perfekcja warsztatowa. To jest z drugiej strony chyba jakiś hołd oddany własnemu i rówieśników dzieciństwu, tyle w tym ciepła idącego od pieca babuni.

Ale młodzik jest także, i chyba przede wszystkim, powiastką filozoficzną. Piszę „powiastką", bo mam na myśli znakomite prawzory tego typu twórczości z Diderotem i Anatolem France na czele. Nie chcę w tym miejscu sugerować ani przez jeden moment, że istnieją jakieś wpływy bezpośrednie. Chodzi o pokrewieństwo gatunku. „Młodzik" jest osadzony w określonym krajobrazie Kielecczyzny i to nie tylko przez nazwy, które tam występują, lecz także przez całą aurę, klimat wewnętrzny, obyczajowość, uogólnioną faktografię.

Chciałoby się aż napisać esej o użyteczności warsztatu poetyckiego w dziele prozaika — chciałoby się pisać o tym, w jaki sposób „Młodzik" osiąga kolejne szczeble komizmu, od rubasznego, poprzez groteskowo-sytuacyjny, aż do tej specyficznej postaci komizmu, który wywołuje równocześnie łzę wzruszenia.

Przygody zmiennej Małgorzatki i jej motywacje, „diabelstwo" Piwowara, wyczyny głównego bohatera — kapitalne postacie Wąsatego i sierżanta policji, kalejdoskop postaci żywych, bez jednej fałszywej „papierówki", a i kompozycja, o jaką trudno doprawdy w „zalatanej" prozie współczesnej — to wszystko powoduje, że „Młodzika" czyta się jednym tchem, że jest to z jednej strony „czytadło" nawet do pociągu, a z drugiej strony dzieło mistrza.

O czym przeczytacie w „Młodziku", tego rzecz jasna nie powiem. Zrobicie to sami, podobnie wzruszeni, rozbawieni i chyba mądrzejsi — powiększając szeregi czytelników Ozgi-Michalskiego.

Dik.

*) **Józef Ozga-Michalski „Młodzik", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1969, cena zł 16.**

TERESA WOJCIECHOWSKA

Teatr wielowyrazowy?

Niewiele mamy okazji do oglądania baletu amerykańskiego, szczególnie w jego najnowocześniejszej, ekspery mentalnej postaci. Taką okazją był niedawny występ baletu Alvina Nicolaisa, jednego z czołowych przedstawicieli awangardowej sztuki choreograficznej w USA. Trudno mieć jakieś ogólne pojęcie o tej awangardzie na podstawie występu jednego zespołu, opierając się jednak na tym co piszą o swym tańcu sami Amerykanie, Stany Zjednoczone przodują w eksperymentowaniu i poszukiwaniu nowych dróg dla sztuki tanecznej. Podczas gdy Europa kultywuje jeszcze taniec klasyczny, choreografia amerykańska szuka nowych form wyrazu, chce z baletu uczynić pełny wielowyrazowy teatr. Jednak sami Amerykanie nazywają ten teatr hybrydą, która z wszystkich sztuk czerpie to, czego jej potrzeba.

Widowisko zmontowane przez Alvina Nicolaisa, przygotowane dla Łodzi i Warszawy ukazało fragmenty większych całości repertuaru tego zespołu. W swoim teatrze Nicolais jest wszystkim: choreografem, autorem muzyki, scenografii, kostiumów, światła. Nicolais jest artystą o wielokierunkowych zainteresowaniach. Jest muzykiem — rozpoczynał karierę artysty jako akompaniator na fortepianie filmom niemym, plastykiem — zajmował się lalkarstwem — i tancerzem — uczył się u najwybitniejszych tancerzy USA. Zawsze interesował go taniec nowoczesny, rytmiczny, dynamiczny. Ale konwencje baletowe szybko przestały wystarczać Nicolaisowi i dziś do tego stopnia je przekroczył, że widowisko, które oglądaliśmy nazwać można sztuką powstałą na gruncie baletu, ale właściwie już baletem nie będącą. Zresztą prasa amerykańska pisząc o balecie Nicolaisa mówi m. in.:

Poczynając od (...) 1953 roku zespół rozpoczął serię eksperymentów, przy których tancerze pracowali w otoczeniu wytwarzanym przez (...) niezwykłe efekty świetlne, dźwięk beztreściowy, filmy, projekcje i inne elementy. Wynikła z tego mieszana forma teatralna, której błyskotliwego efektu wizualnego nigdy nie kwestionowano, ale w której zespolenie czynników wizualnych, słuchowych, technologicznych i kinetycznych jest tak doskonałe, że publiczność i krytycy czasem mają trudności z oceną".

Zapewne chodzi o trudności z zakwalifikowaniem przedstawień do którejś z określonych dyscyplin sztuki, do określonego gatunku scenicznego. Bo też jest balet Nicolaisa hybrydą, która łączy elementy tańca, pantomimy, teatru-laboratorium. Wszystkie elementy grają role równorzędne: rekwizyt-symbol, którym tancerze operują z akrobatyczną zręcznością, elektronowa muzyka, ostra, atakująca, światło wreszcie, wysyłane z reflektorów, rzutników, kolorowe przezrocza, latarki elektryczne. Bywa, że balet zaczyna mówić wielojęzycznym gwarem łamiąc wszelkie konwencje baletu i pantomimy.

Nicolais oczywiście świadomie łamie wszystkie bariery, eksperymentuje, tworzy swój „teatr wielowyrazowy".

To określenie na razie niewiele nam mówi. Jaki jest więc ten teatr? Na pewno jest to teatr, który nie dostarcza wzruszeń, mimo że niejednokrotnie szokuje. Jest to teatr wymyślony, wykoncypowany, mający pobudzać do myślenia. Sam Nicolais mówi, że sztuka powinna być sugestywna, choć nie narracyjna, a widz sam powinien, pod prezentowane doznania abstrakcyjne, podkładać sobie własne treści. Jest to na pewno teatr wysokiej techniki, wysokiej precyzji wykonawczej, wysoki jest kunszt wykonawczy zespołu. Jest to teatr oparty na niewątpliwie gruntownej znajomości rzemiosła tanecznego, doskonale opanowanych jego zasadach. Szczególną perfekcją odznacza się solista Murray Louis, czołowy baletmistrz zespołu.

Jest to teatr zdecydowanie pesymistyczny. Ukazuje nam świat zmechanizowanego życia, ludzi wplątanych w jego tryby, goniących w nieustannym pośpiechu, nie rozumiejących co się wokół nich dzieje, uwikłanych w sieci pajęczyn i krat, dążących nieuchronnie ku przepaści, ku zagładzie.

Balet Nicolaisa jest zapewne jedną z wielu propozycji na baletowym rynku i zapewne tak jak inne, jest w tej postaci jakąś formą przejściową, którą w tej chwili trudno określić jednoznacznym mianem. Dokąd te eksperymenty prowadzą, do jakiego kształtu scenicznego? Zadecyduje o tym zapewne suma indywidualności artystycznych. Zapewne za ileś tam lat.

Pierwszy tancerz Murray Louis

ANNA RYNKOWSKA

Ulica Piotrkowska

„To największą w Łodzi troską, aby Łódź całą zmieścić na Piotrkowską". W tej zręcznej frazce Jana Sztaudyngera mieści się kwintesencja charakteru naszej głównej ulicy. Tu było wszystko, i tu wszystko — co się w Łodzi działo — miało swój początek. Na tej ulicy skupiało się życie handlowe i kulturalne miasta, tu wszyscy się spotykali. Złośliwi nawet mówili, że „Łódź leży nad Piotrkowską". Dobrze, czy źle o niej mówiono — nikt wobec tej ulicy nie pozostawał obojętny. Bo Piotrkowska, czterokilometrowy szlak biegnący przez środek miasta, żywy obraz rozwoju XIX-wiecznej Łodzi, jest ulicą unikalną na miarę nie tylko polską. Poznajmy więc jej historię.

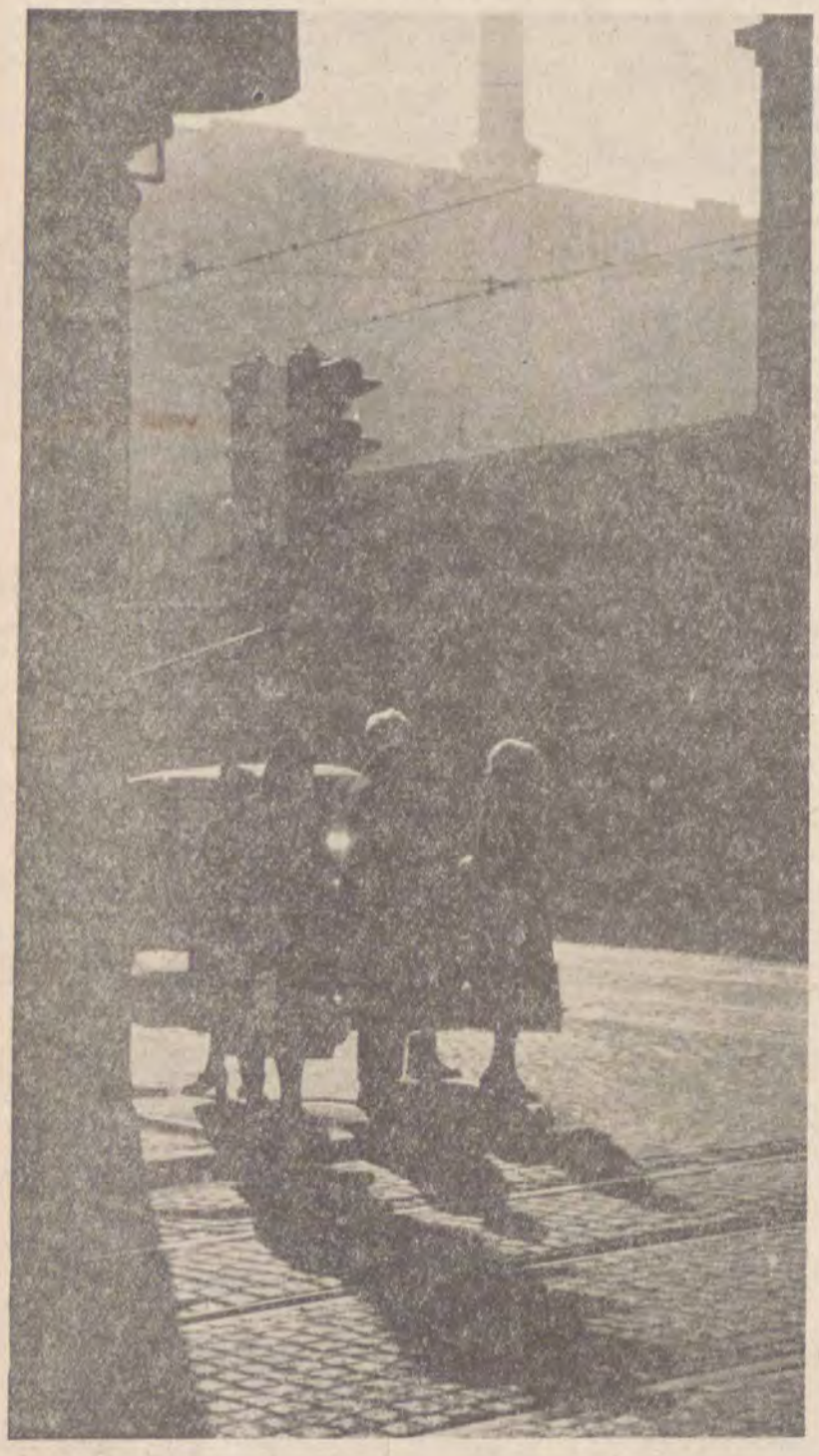

Fot. W. Biliński

Jeszcze niedawno, bo 150 lat temu była to droga wśród lasów, zwana traktem piotrkowskim, który szedł z Piotrkowa na Zgierz, przechodząc przez rolniczo-rzemieślnicze miasteczko położone na północ od Łódki. Datą narodzin ulicy Piotrkowskiej jest rok 1821. W tym roku Łódź została włączona do planu uprzemysłowienia Królestwa Polskiego. Po obu stronach szlaku piotrkowskiego, między Łódką i Jasienią, założono osady przemysłowe dla sukienników i tkaczy bawełny i lnu. Zaludnianie osad rozpoczęło się w 1824 r. Aby zachęcić rękodzielników do osiadania w Łodzi władze rządowe wybudowały dla nich w latach 1825—26 kilkadziesiąt domów między ul. Główną a Emilii (dziś 8 Marca). Domy były parterowe, murowane i drewniane. Możemy jeszcze oglądać je przy Piotrkowskiej 202—210. Potem zaczęło się budownictwo prywatne, też parterowe. Pierwszy dom jednopiętrowy stanął przy Piotrkowskiej 243, w 1835 r., mieściła się w nim później szkoła elementarna. Dom ten zachował się.

W 1850 r. cały front ulicy Piotrkowskiej był zabudowany parterowymi domami, przeważnie drewnianymi. Wśród 85 domów murowanych było dziesięć jednopiętrowych. Przecznice głównej ulicy były prawie puste, kończyły się w polu.

Przewaga parterowego budownictwa stwarzała wrażenie jednostajności, lecz nie szarości. Domy malowano na jasne, pastelowe kolory. Cała ulica była wysadzana strzelistymi włoskimi topolami jeszcze w latach sześćdziesiątych. Już na początku istnienia ulicy założono ogród spacerowy przy Piotrkowskiej 175a, obok zajazdu zwanego Paradyz. Zieleń widać było także na tyłach wąskich, długich parcel, ciągnących się do ulic: Wólczańskiej, Wschodniej i Dzikiej (dziś Sienkiewicza). Rosły tam warzywa, krzewy, drzewa owocowe. A za tym wszystkm o kilkadziesiąt metrów dalej ciągnął się teren wiejski, łany szumiące zbożem, pastwiska dla bydła hodowanego przez tkaczy i fabrykantów. Lecz w miarę rozbudowy Piotrkowskiej przestrzeń ogrodowa placów zmniejszała się.

Aby usprawnić poruszanie się wieczorem po ulicy, w 1835 r. założono na Piotrkowskiej 11 latarni rewerberowych, opalanych olejem. Pierwsze latarnie gazowe zabłysły dopiero w 1869 r. Było to wielkie wydarzenie w życiu miasta.

Piotrkowska wówczas nie była dzielnicą handlową. Jeszcze w połowie XIX wieku handel skupiał się na Starym Mieście, na ul. Nowomiejskiej i częściowo na odcinku Piotrkowskiej od Nowego Rynku do ul. Dzielnej (dziś Narutowicza). W 1850 roku były na ul. Piotrkowskiej 24 sklepy. Kupowano w nich sól, mydło, świece, śledzie, „towary korzenne", farby, tkaniny. Mieszkańcy zaopatrywali się także w potrzebne im rzeczy na targach i jarmarkach, które odbywały się na rynkach: Nowym, Fabrycznym, (dziś Plac Katedralny) i Górnym. Od połowy XIX wieku mieszkańcy ul. Piotrkowskiej zaczęli przerabiać okna na drzwi sklepowe. Pierwsze okazalsze wystawy powstawały w latach osiemdziesiątych. Handel stopniowo przesuwał się ku południowej części ul. Piotrkowskiej.

Piotrkowska była ulicą tkaczy. Prawie ze wszystkich okien i drzwi domków dobiegał stuk ręcznych warsztatów. Pierwsze fabryki powstały na południowym krańcu ulicy, w pobliżu Górnego Rynku (dziś Plac Reymonta). W latach siedemdziesiątych zaczęły powstawać w podwórkach ul. Piotrkowskiej duże tkalnie, uruchamiane w nowych piętrowych oficynach. W 1876 r. stało na ulicy Piotrkowskiej kilkanaście kominów fabrycznych. Lecz ręczne warsztaty stukały dalej w co trzecim domu.

Wiele pożytecznych dla miasta urządzeń powstało najpierw na ul. Piotrkowskiej. W 1845 r. zbudowano według planu H. Marconiego pierwszy miejski szpital w tym miejscu gdzie dziś Seminarium Duchowne. W 1859 r. powstały pierwsze łódzkie księgarnie. Także pierwsze teatry — najpierw w Paradyzie, następnie w 1877 r. teatr polski Victoria (Piotrkowska 67, gdzie dziś kino Polonia). Można jeszcze przypomnieć trzy najważniejsze hotele: Polski (Piotrkowska 3), zbudowany w 1853 r., Victoria (równocześnie z teatrem) i w kilka lat później — Grand Hotel (Piotrkowska 72).

Po połączeniu w 1866 r. Łodzi z koleją warszawsko-wiedeńską wzrosło znaczenie odcinka między Dzielną a Nawrot. Tutaj powstały hotele, teatr, cukiernie (np. Roszkowskiego) — i dużo później — pierwsze kinematografy.

Od połowy lat siedemdziesiątych XIX w. ul. Piotrkowska poczęła zabudowywać się piętrowymi domami. Przyczyniło się do tego Towarzystwo Kredytowe (powstałe w 1872 r.), które udzielało długoterminowych pożyczek na budowę. Około 60 proc. właścicieli posesji przy ul. Piotrkowskiej przystąpiło do tego towarzystwa. Piotrkowska zaczęła się wypełniać czynszowymi kamienicami z przeznaczeniem dla zamożnej burżuazji. Zmienili się mieszkańcy tej ulicy. Ubodzy tkacze przenosili się na peryferie. Piotrkowska stawała się ulicą elitarną. Marzeniem inteligencji — lekarzy, inżynierów, bogatych kupców — było mieszkać przy ul. Piotrkowskiej.

Front ulicy szczególnie szybko zaczyna rosnąć od początku lat dziewięćdziesiątych. Usuwa się drewniaki i niektóre murowane parterowe domy, na miejscu których budowano domy piętrowe. Podwyższa się domy parterowe, nadbudowuje wyższe piętra na jednopiętrowych i dwupiętrowych domach. Zabudowa ul. Piotrkowskiej ustabilizowała się do lat 1913—1914. Północna część ulicy była gęsto zabudowana domami o kilku kondygnacjach. Lecz w południowej części stało jeszcze wiele domów parterowych (nawet drewnianych) i jednopiętrowych. Obcego przybysza uderzały kontrasty tej ulicy. Krajoznawca A. Janowski pisał w 1902 roku: „Najważniejszą ulicą w mieście jest Piotrkowska, ciągnąca się z biegiem szosy. Tu najwspanialsze gmachy, najwykwintniejsze sklepy, najbogatsze składy znalazły pomieszczenie. Ma ona dziwny charakter bogactwa zmieszanego z ubóstwem — obok wyniosłych pałaców, zdobnych w marmury i lustrzane szyby, stoją małe, parterowe, papą kryte, chałupki z marnymi sklepikami".

Ulicę Piotrkowską budowało wielu wybitnych architektów. W latach 1872—92 projektował domy i część pałaców (np. Piotrkowska 74) architekt miejski Hilary Majewski. Jego domy odznaczają się piękną, spokojną harmonią, lubił stosować motywy klasycystyczne. Jednak wiele tych domów, ich właściciele później przebudowali w zupełnie innym stylu, np. kamienice przy Piotrkowskiej 49, 51. W latach dziewięćdziesiątych jego miejsce zajął Franciszek Chełmiński, który często uwzględniał ornamenty neobaroku, np. Piotrkowska 90. Słynny architekt Dawid Landе projektował m. in. kamienice na Piotrkowskiej 12, 126. Autorem wielu planów był Gustaw Landau-Gutenteger (Piotrkowska 139, 29, 37, 99 i in.).

Niewiele domów posiada jednolity styl. Fasady są przeważnie eklektyczne — z elementami renesansu, empiru, baroku i rokoka, czasem secesji. Typowy jest tu dom na Piotrkowskiej 12 oraz 86.

Lecz są także domy zbudowane w jednym stylu. Najstarsze budynki (te do połowy lat sześćdziesiątych) posiadają ornamenty o charakterze neoklasycznym (np. Piotrkowska 13). Widzimy też domy w formach neorenesansu (Piotrkowska 151), neobaroku (dość dużo), neogotyku (Piotrkowska 99), secesji (Piotrkowska 37, 43, 100a, 128 i inne).

Już Reymont w „Ziemi Obiecanej" opisywał pałace fabrykanckie na Piotrkowskiej. Mamy ich dość dużo, przy Piotrkowskiej 11, 74, 104, 139, 179, 236, 266, 272 — i inne.

Na Piotrkowskiej, jako reprezentacyjnej ulicy, odbywały się różne uroczystości i pochody. W latach kryzysów kapitalistycznych XIX wieku, ulica ta była świadkiem demonstracji ludu pracującego. W 1861 r. maszerowali tu bezrobotni tkacze zbuntowani przeciw maszynom. W czasie „buntu łódzkiego" w 1892 r. strajkujący robotnicy gromadzili się przed fabrykami Silbersteina, Heinzla, Geyera i Steinerta. W wydarzeniach rewolucyjnych 1905—1906 roku Piotrkowska jako teren manifestacji politycznych i narodowych odegrała rolę pierwszoplanową. Także w okresie 20-lecia międzywojennego organizacje robotnicze i związki zawodowe wyznaczały ulicę Piotrkowską dla masowych protestów, szczególnie w dniach święta 1-majowego. A dziś — jest to ulica defilad i pochodów w czasie wielkich uroczystości państwowych.

Zewsząd o wszystkim

Mafia pod ochroną

„L'ASTROLABIO" — RZYM

Jak podaje parlamentarna komisja do spraw badania przestępczości mafii, „nad Sycylią w dalszym ciągu unosi się cień mafii, może nie tak strasznej jak niegdyś, niemniej i on wyciska piętno na skórze... Członkowie band nie zrażają się więzieniem, tym bardziej, iż z reguły odbywają kary w „rodzinnych stronach", mogą więc utrzymywać kontakty nie tylko z własnymi rodzinami, lecz także z bandą i kontynuują działalność przestępczą..."

Oczywiście mafii nie da się zlikwidować, wtrącając do więzienia bandytów, najbardziej „zagrożonych" z punktu widzenia kodeksu karnego. Konieczne jest wykrycie powiązań mafii ze światem politycznym, władzami miejscowymi, lichwiarzami i spekulantami. Tym właśnie powinna się zajmować wspomniana komisja parlamentarna od początku swego istnienia, to jest od roku 1963. Energiczne działanie w tym kierunku podejmowali na swój rachunek i na swoje ryzyko tylko nieliczni członkowie komisji. Ogólnie wiadomo, iż przywódcy partii chrześcijańsko-demokratycznej odrzucają wszelkie próby wykrycia powiązań mafii z kołami rządzącymi. Były przedstawiciel komisji, Pafundi, uparcie odmawiał przedłożenia parlamentowi danych, zebranych przez komisję.

Ostatnio, po długich korowodach, komisja postanowiła wreszcie zebrać wszystkie dokumenty dotyczące mafii, rozsiane do dziś po dziesiątkach archiwów państwowych.

Włosi zadają sobie pytanie: „Czy ta operacja się uda?" Czy zgodzi się minister spraw wewnętrznych, żeby wyjaśnić okoliczności przestępstw, do których przyłożyli rękę niektórzy jego poprzednicy? Wątpliwe. Tym bardziej, jeśli się pamięta, jak to kilka lat temu ówczesny minister finansów Colombo nie udzielił pomocy w wyjaśnieniu roli niektórych sycylijskich banków, jaką odegrały w błyskawicznym wzbogaceniu się tzw. „porządnych ludzi", zajmujących wysokie stanowiska państwowe.

W komisji do spraw badania przestępczości mafii działa obecnie kilka „grup roboczych", w tej liczbie dziesięć komitetów, kontrolujących różne gałęzie gospodarki, przedsiębiorstwa kredytowe, zakłady bankowe, rynki hurtu i gospodarstwa wiejskie. Szczególnie skrupulatnie bada się sprawy nielegalnego handlu narkotykami oraz powiązania mafii z amerykańskimi gangsterami.

Czy da to jakieś pozytywne rezultaty? Perspektywy są bardzo mgliste.

Koszty nauki w USA

„U.S. NEW AND WORLD REPORT" — WASZYNGTON

„Za rok nauki w amerykańskim college'u student płaci 4 tysiące dolarów. Odpowiednio, cztery lata studiów kosztują 16 tys. dolarów. Jeśli rodzina ma dwoje lub troje dzieci i jeśli chce im dać wyższe wykształcenie, musi na ten cel wydatkować wcale niebagatelną sumę 50 — 60 tysięcy dolarów. Miliony amerykańskich rodzin o średnich dochodach stają rokrocznie w obliczu nader poważnego problemu: w jaki sposób zabezpieczyć dzieciom możliwość kontynuowania studiów?...

Stypendia nie stwarzają takich możliwości. Z reguły udziela się ich tylko wyjątkowo uzdolnionym i wybijającym się studentom, względnie wielce obiecującym sportsmenom. Można oczywiście zaciągać pożyczki. Zarówno prywatne jak i państwowe, Ale, jak wiadomo, pożyczki trzeba potem latami spłacać. Rodzice szukają więc innych dróg zdobycia pieniędzy na naukę dla swych dzieci. Zdarzają się częste wypadki obciążania hipotek własnych domków, żeby w ten sposób zdobyć potrzebne pieniądze. Jednak najczęściej ojcowie rodzin są zmuszeni szukać dodatkowej pracy zarobkowej.

Na studia mogą sobie pozwolić tylko najbogatsi. Nawet wysoko kwalifikowany inżynier-elektronik, zarabiający 17 tys. dolarów rocznie określił koszty nauki w college'ach, jako „zabójcze". Nauka staje się w tych warunkach luksusem. Podnoszą się głosy protestu. Znany businessman z Houston w stanie Teksas stwierdził: „Czytałem niedawno w prasie, iż w ciągu najbliższych 10 — 20 lat koszty nauki ogromnie wzrosną. Doprawdy nie wiem, co zrobią ci średnio zamożni, jeśli tak będzie istotnie..."

Oczy na eksport

„THE ILUSTRATED LONDON NEWS" — LONDON

„Ostatnio zarejestrowano na Cejlonie około 300 tysięcy dawców oczu. Nawet gubernator i premier rządu cejlońskiego zapisali w testamencie swe oczy klinikom okulistycznym.

Cejlon jest dotąd jedynym krajem, który dostarcza oczy do transplantacji wielu innym krajom. Zrzeszenie dawców oczu powstało tam osiem lat temu; dziś na wyspie działa już przeszło 70 jego filii. Dzięki cejlońskim dawcom stworzono możliwości dokonywania operacji przeszczepiania oczu początkowo w Indonezji, a następnie w Sarawak, na wyspie Borneo.

Przy transplantacji oczu lekarze natrafili na poważne trudności, które w części udało się już przezwyciężyć. Dla przykładu — oczy są zdatne do przeszczepu tylko w przeciągu trzech godzin od śmierci dawcy. W specjalnie sprzyjających warunkach, tj. przechowując je w określonej temperaturze poniżej zera, można użyć ich do transplantacji nawet w przeciągu 12 godzin.

Ale i ten dość długi okres okazał się niewystarczający, gdy zaszła konieczność przeszczepienia oczu pacjentowi w Rio de Janeiro, oddalonego bądź co bądź o 12 tysięcy mil od Cejlonu. I oto dzięki talentom i wyso-

Algieria w słońcu

Przez 10 dni i 10 ciepłych sierpniowych nocy algierskich stolica kraju rozbrzmiewała echem tam-tamów. Ogromnym wysiłkiem został zorganizowany w Algierze pierwszy Festiwal Kultury Panafrykańskiej. Nigdy i nigdzie dotychczas w Afryce nie było tak ogromnego przeglądu dorobku kultury tego kontynentu. Zjechały tutaj tysiące tancerzy, muzyków, śpiewaków z całej Afryki. Zorganizowano wiele wystaw. W kinach wyświetlano filmy, a w teatrach grano sztuki afrykańskie. Obradowały również sympozja naukowe. Słowem uczyniono wszystko aby przedstawić ogromne możliwości kulturalne Afryki.

Stolica państwa — Algier to ogromny port, z którego wychodzi się do miasta z tysiącem białych domów. Nad centrum goruje Kasba — stara arabska twierdza — ośrodek handlowy. Ponieważ żywiołem Arabów jest handel, tutaj koncentruje się życie milionowego miasta. Wiele godzin spędziłem na samotnych włóczęgach z aparatem fotograficznym po Kasbie. Arabowie nie lubią być fotografowani, a szczególnie kobiety, gdyż według ich wierzeń podarta fotografia kobiety skazuje ją na wieczyste męczarnie. Stąd miałem trochę kłopotów, kobiety uciekały na widok aparatu, mimo to na mojej kliszy znalazło się kilka ciekawych portretów arabskich kobiet.

*

El-Kantara — co znaczy Wrota Pustyni. Od strony wybrzeża dostępu na Saharę bronią wzgórza Oreste. Szosa wraz z rzeczką, też Oreste, przecina góry i tu zaczyna się Sahara.

*

Djamila, stare miasto romańskie założone w 80 roku naszej ery przez cesarza Nerwę. Największy rozkwit miasta notuje się za panowania Septeniusza Sewera.

Zdjęcia i tekst:
ANDRZEJ WACH

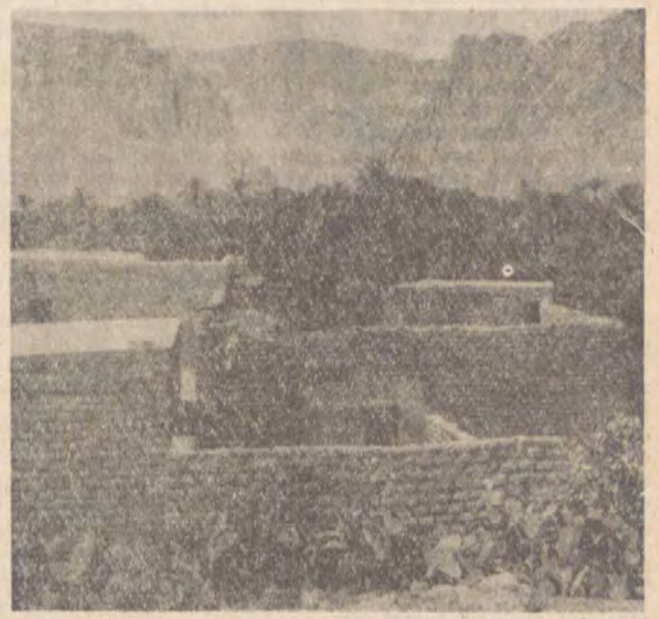

kim umiejętnościom cejlońskich lekarzy przedłużono czas przechowywania oczu do 44 godzin.

Teraz, każdego dnia, wywozi się z Cejlonu za granicę około 200 oczu i w świecie medycznym zdobył on nazwę „wyspy oczu". Władze cejlońskie zezwoliły na bezpłatny transport oczu ludzi umarłych drogą lotniczą i kolejową wewnątrz kraju. Zapewniły też bezpłatną reklamę w kinach i radio. A w Colombo, stolicy państwa przystąpiono już do budowy okulistycznego instytutu badawczego".

W papieskim królestwie

„DER SPIEGEL" — HAMBURG

Punktualnie o godzinie 23,30 szczelnie zamyka się bramy Watykanu, wszyscy jego mieszkańcy powinni wówczas znajdować się już w swoich domach.

Według danych ostatniego spisu ludności (1967) Watykan zamieszkują 733 osoby, jednakże obywatelstwem tego mini-państwa legitymuje się zaledwie 419. Do tych uprzywilejowanych należy: 27 kardynałów, 27 arcybiskupów, biskupów i prałatów, 12 księży, 54 szwajcarskich gwardzistów, 151 papieskich żandarmów i wreszcie 148 osób ludności cywilnej.

Obywatele Watykanu nie płacą ani podatków, ani ceł i dlatego artykuły żywnościowe, odzież, zabawki, a nawet wino są tam znacznie tańsze, niż „za granicą", to znaczy w Rzymie. Kto mieszka w Watykanie nie płaci również czynszu za mieszkanie. Nawet benzyna jest tutaj o połowę tańsza niż w pozostałej części Włoch, a mandat policyjny za jazdę z niedozwoloną szybkością jest we Włoszech dziesięciokrotnie wyższy niż w Watykanie. Merem Watykanu — w zasadzie miasteczka o powierzchni 44 hektary — jest, niejako z urzędu, sam papież.

W Watykanie zawsze instalowano urządzenia będące ostatnim słowem techniki. Już w roku 1886, za czasów papieża Leona XIII, wyposażono bibliotekę watykańską w automatyczną centralę telefoniczną, skonstruowaną przez rzymskiego elektrotechnika. Wspomnijmy nawiasem, iż w Stanach Zjednoczonych pierwszą automatyczną centralę telefoniczną oddano do użytku dopiero w roku 1891, a więc w pięć lat później. Dziś w watykańskiej telefonii królują niepodzielnie elektronika.

W sąsiedztwie redakcji „Osservatore Romano" usytuowano drukarnię „Poliglotta", jedną z najbardziej unikalnych w świecie. Dysponuje ona kompletami 40 różnych alfabetów i może drukować teksty, praktycznie w każdym języku.

Na drugim piętrze „Poliglotta" znajduje się ściśle tajny oddział drukarni. Składa się tutaj poufne pisma, informacje i zarządzenia papieża, przeznaczone dla kurii, episkopatów czy też przedstawicielstw Watykanu na terenie innych krajów. Zecerów zatrudnionych w tym oddziale zalicza się do najbardziej zaufanych ludzi w państwie. Oni pierwsi poznają tajemnice, o których dużo później dowiaduje się świat. I to nie zawsze, i nie o wszystkich.

EC-121 w akcji szpiegowskiej

Powietrzny szpieg amerykańskiej wojennej floty morskiej EC-121 — to specjalny samolot typu liniowego „Locheed Super Constellation", wyposażony w liczne i najnowocześniejsze urządzenia podsłuchowe i radiolokacyjne. Zainstalowane na zewnętrznej stronie kadłuba samolotu, przejmują sygnały radiolokacyjne, które wysyła strona przeciwna w celu identyfikacji wszelkich aparatów latających we własnym obszarze powietrznym. Ustalenie częstotliwości, na której pracują owe stacje radiolokacyjne strony przeciwnej, stwarza Stanom Zjednoczonym warunki do skonstruowania urządzeń zagłuszających. W ten sposób, w razie wojny, ich efektywność będzie sprowadzona do zera.

Pod kadłubem samolotu zainstalowano również aparaturę do nasłuchu radiowej łączności wojskowej na obcym terytorium. Na podstawie przechwytywanych w ten sposób informacji można wnioskować o stanie gotowości sił zbrojnych przeciwnika, a nawet o przypuszczalnym rozmieszczeniu pododdziałów.

EC-121 jest zmodyfikowanym samolotem transportowo-handlowym USA, typu „Super Constellation", który obsługiwał większość linii lotniczych przed pojawieniem się samolotów odrzutowych.

Szybkość lotu EC-121 wynosi ok. 500 km na godzinę, a zasięg lotu — ok. 7 tysięcy kilometrów. W kadłubie samolotu zainstalowano aparaturę elektroniczną o wadze około 6 ton!

Załoga samolotu „Super Constellation" składa się z 3 do 5 ludzi, ale załoga EC-121 liczy od 18 do 30 osób, a nawet i więcej. Liczebność załogi zależy od zadań technicznych, związanych z wykonywaniem zleconych zadań. W wypra-

wach szpiegowskich uczestniczą specjaliści techniczni do obsługi środków łączności, tłumacze, zapewniający natychmiastowy przekład informacji, ekipa konserwacyjno-remontowa, która utrzymuje skomplikowaną aparaturę w stanie pełnej gotowości, drugi skład personelu latającego na wypadek przedłużających się lotów i nie rzadko uzbrojona straż, która pilnuje personelu specjalnego, zajętego szczególnie tajną pracą w wywiadowczej sekcji samolotu.

Jedno z zadań wywiadowczych lotów EC-121 polega na przechwytywaniu różnych sygnałów, płynących z terytorium inwigilowanych krajów, ciągłej rejestracji ich „elektronicznego charakteru pisma" i przekazywaniu zebranych informacji wywiadowczych do sztabu NAB, czyli Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, w Ford-Mide, niedaleko Waszyngtonu.

Zewsząd o wszystkim

HENRYK PAWLAK

Melpomena w szarej opończy

Z sytuacją i poziomem łódzkich teatrów dramatycznych jest tak, jak w anegdotycznym powiedzeniu: ani tak źle, żeby nie mogło być gorzej, ani tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. Wszyscy tym stanem rzeczy jesteśmy wyraźnie zaniepokojeni. Dyskusje nad przyczynami zjawiska toczą się od dość dawna, lecz nie wyjaśniły zbyt wiele, zwalniają natomiast, w pewnej mierze, od szukania źródeł niepowodzeń łódzkiej Melpomeny w złej pogodzie, w znużeniu czy znudzeniu środowiska teatralnego, braku zainteresowania społecznego repertuarem trudnym i ambitnym, inscenizacjami twórczymi i odkrywczymi, a także w braku odpowiedniego poziomu krytyki w czasopismach i gazetach.

Dajmy temu wszystkiemu pokój i spróbujmy zastanowić się nad projektami, pomysłami czy wnioskami mającymi teatry tego miasta wynieść na niebotyczne wyżyny. Tym łatwiej nam to przyjdzie, że nie są to pomysły nasze. Od pewnego czasu mówi się w Łodzi o projekcie teatralnej rewolucji. Wysunięto sugestię, aby wszystkie teatry dramatyczne połączyć w jedną instytucję, która skupiłaby najlepsze siły dyrektorskie, reżyserskie, gospodarczo-administracyjne.

Istnieją w Polsce i za granicą doświadczenia w takim scentralizowaniu miejskiego zarządzania teatrami. Zwolennicy mówią o poważnych oszczędnościach finansowych — mniej pracowników administracyjnych, wspólne, duże i dobrze wyposażone warsztaty oraz magazyny teatralne pozwalają lepiej gospodarzyć. Łatwiej też ponoć rozwiązywać kwestie repertuarowe, ustalać profil artystyczny poszczególnych scen. Być może. Kłopotów mielibyśmy mniej, wydatków mniej, partnerów do dyskusji nad problemami ideowo-artystycznymi przedstawień teatralnych też mniej (może w ogóle nie byłoby dyskusji i sporów, bo w końcu monopol kierownictwa artystycznego takiego kombinatu albo by skłaniał do jednokierunkowej aprobaty jego poczynań, albo ich podważania, co w sumie zbyt proste w technice wymiany myśli rychło by wszystkich znudziło).

Tylko czy będziemy mieli więcej dobrych przedstawień, wydarzeń artystycznych zwracających uwagę opinii całego kraju? Oto jest pytanie.

Plany, budżety, finanse. Teatr jest przedsiębiorstwem państwowym. W słowie „przedsiębiorstwo" kryją się sprawy, z którymi nie ma żartów.

Można dyskutować i spierać się o walory artystyczne przedstawienia, o koncepcje reżysera, scenografa czy inscenizatora, ale nie można dyskutować z głównym księgowym, któremu bilans musi się zgadzać po obydwu stronach — „winien", „ma".

Oczywiście, odrobinę rzeczy tu upraszczam, ale dla jasności obrazu warto zaryzykować takie uproszczenie, z którego jeszcze korzystać będziemy dalej.

Tak więc teatr jest przedsiębiorstwem. Przedsiębiorstwem, do którego państwo — w naszym ustroju — świadomie i celowo dopłaca wielkie sumy. Dotacje te mają, i muszą mieć, granice. Właśnie te granice zakreślają obszar gospodarności każdego teatru, tworzą wymogi ekonomiczne. Ludzie teatru, twórcy, artyści przyjmują ze zrozumiałych względów te wymogi z dużą rezerwą. Postulat, by teatru nie traktować jako zwykłego przedsiębiorstwa, by dać mu w zakresie ekonomiki specjalne przywileje, prawo do elastyczności w traktowaniu pozycji i paragrafów budżetowych powtarza się od lat. Prymat ekonomiki bowiem ciąży nad obliczem artystycznym sceny — twierdzą oni, nie bez argumentów.

Jak to się jednak dzieje, że przy obowiązującej strukturze teatrów w Polsce powstają wybitne przedstawienia, spektakle zajmujące trwałe miejsce w historii narodowego teatru, że poszczególne sceny zdobywają sobie wybitną pozycję?

Trzeba przejść do prawienia komunałów czy raczej prawd oczywistych, bowiem bez nich nie udowodnimy tego, że pomysł komasacji łódzkich scen jest groźny dla życia teatralnego.

Prawda pierwsza: O poziomie sceny decydują twórcze możliwości zespołu aktorskiego, indywidualność artystyczna dyrektora teatru, ogólna koncepcja teatru jako gatunku sztuki i wynikający z niej własny styl inscenizacji, własny typ repertuaru.

Prawda druga: O poziomie teatru decyduje umiejętność godzenia wymogów artystycznych z możliwościami finansowymi i technicznymi sceny, a także umiejętność przekonania rezultatami na scenie władz i opinii publicznej, że twórczemu zespołowi teatru, że jego kierownictwu trzeba stworzyć dodatkowe możliwości realizowania ważnych społecznie i artystycznie przedstawień.

Prawda trzecia: Teatr jest zbyt złożonym problemem twórczym, zbyt skomplikowanym aparatem powołanym do realizowania idei artystycznych, społecznych, politycznych, aby rozstrzyganie o celowości jego działań zarówno w płaszczyźnie ekonomicznych przesłanek jak i merytorycznych było możliwe bez indywidualnego traktowania każdego spektaklu, każdego zamysłu artystycznego.

Można więc założyć a priori, że jednocząc łódzkie teatry w oparciu o argumenty gospodarności i usprawniania zarządzania bybyliśmy w sprzeczności z podstawowymi prawami jakimi się rządzi teatr, jako instytucja artystyczna. W konsekwencji może i mielibyśmy bardzo dobrze zorganizowany kombinat teatralny, działający idealnie pod względem administracji i gospodarki, rozdzielający sprawiedliwie finanse pomiędzy poszczególne sceny, opracowujący rozsądnie pomyślane plany repertuarowe dla każdego teatru, może mielibyśmy spokój z tym całym kramem. Wątpię jednak czy mielibyśmy w Łodzi teatry z prawdziwego zdarzenia, zróżnicowane pod względem artystycznym, reprezentujące określone idee twórcze i społeczne, będące wyrazem zaangażowania politycznego i pasji artystycznych, zainteresowań współczesną problematyką kolektywów teatralnych.

Zastanówmy się przez chwilę czym jest, lub czym być powinno oblicze artystyczne teatru. Powiedzieliśmy już wyżej, że jest to sprawa własnej koncepcji tego gatunku sztuki, własnego stylu, własnego niejako „języka" teatralnego. Ale ważniejszy od tych zewnętrznych atrybutów teatru wydaje się być jego program ideowy, jego założenia programowe. W ostatecznym rachunku zawsze będziemy stawiali pytanie co nam chcą powiedzieć ze sceny ludzie teatru — o co walczą, z czym walczą, jakie idee chcą uczynić własnością społeczną. Jeśli dążymy do tego, z mniejszym lub większym skutkiem, aby przedstawienia teatralne były nie tylko efektem pracy reżysera, scenografa i innych realizatorów lecz także manifestacją poglądów artystycznych i przekonań ideowych całego zespołu, to trudno się pogodzić z taką koncepcją organizacji życia teatralnego, która wyklucza istnienie zindywidualizowanych grup teatralnych, rządzących się swymi własnymi prawami. Prawami, które im dyktuje sumienie artystyczne, przeświadczenie o powołaniu i wysokiej misji społecznej artysty teatru.

Oponenci mogą powiedzieć, że ze świecą w ręku można szukać takich zespołów teatralnych, które powstałyby, lub istnieją, na zasadzie wspólnoty założeń ideowo-artystycznych. To prawda, lecz w naszej praktyce teatralnej dążenie do tak idealnej sytuacji zaznacza się wyraźnie w wielu ośrodkach kraju, a skupianie się ludzi teatru wokół wybitnych twórców — reżyserów czy dyrektorów jest rzeczą znaną. Pozbawianie więc możliwości, choćby teoretycznej, kształtowania się zindywidualizowanych kolektywów teatralnych przeczy merytorycznym założeniom polityki kulturalnej.

Narzekamy w Łodzi od lat, i słusznie, na zacieranie się różnic między poszczególnymi teatrami, że widz traci orientację czego ma oczekiwać w poszczególnych teatrach, że nie mają one własnego profilu artystycznego. Tymczasem podnoszą się projekty, których zrealizowanie ostatecznie by zunifikowało wszystkie sceny w mieście. Trudno uwierzyć w argument, że jedno kierownictwo wszystkich teatrów może zrealizować na każdej scenie odrębny i treściowo i artystycznie repertuar.

Niewątpliwie, sytuacja w łódzkich teatrach jest niepokojąca, niewątpliwie — trzeba dokonać zasadniczych zmian. Trzeba jednak każdej scenie przyjrzeć się z osobna, w każdym teatrze dostrzec odrębne problemy, dla każdego teatru szukać właściwych rozwiązań. Szukać rozwiązań wspólnie z zespołami zainteresowanych teatrów, z ich kierownictwem. Zmiany muszą następować wewnątrz. Problemem, nad którym powinniśmy dyskutować, winno być to, w jaki sposób postulaty kierowane pod adresem wszystkich teatrów jako całości mogłyby być w indywidualny sposób spełniane w każdej placówce teatralnej.

Jeśli nie chcemy, aby łódzka Melpomena chodziła w szarej opończy, szukajmy krawców, którzy by umieli jej uszyć barwne szaty...

TELEOBIEKTYW

Niobe, córka Tantala

Ćwierćwiecze klęski wrześniowej, obchodzone tak uroczyście w całym kraju, znalazło i na antenie telewizyjnej żywy oddźwięk. Oprócz programów publicystycznych i dokumentarnych nadano cały szereg programów literackich. Charakterystyczne jednak, że nie sięgnięto do typowej formy teatru telewizyjnego, choć w oparciu o bogatą literaturę dotyczącą Września można się było pokusić o przygotowanie widowiska będącego choćby adaptacją którejś z powieści czy z opowiadań. A może należało pomyśleć o spektaklu zrealizowanym na oryginalnym tekście napisanym specjalnie dla telewizji?

Tego jednak nie zrobiono. Odwołano się raczej do innych form: do estrad poetyckich i literackich. Jeden z takich programów przygotował Łódzki Ośrodek Telewizyjny i nadał go w dniu 10 bm. Mam na myśli Estradę Literacką „Niobe 43", której za tekst słowny posłużył poemat Zbigniewa Jerzyny. Widowisko to zasługuje na omówienie i to zarówno ze względu na treść jak i na formę realizacji.

„Niobe 43" pośrednio tylko nawiązuje do Września. Dotyczy jednak wydarzeń będących skutkiem klęski. Starożytny mit o Niobe, córce Tantala, rozpaczającej po stracie dzieci i zamienionej przez Zeusa z litości w kamień, posłużył poecie jako metaforyczne odniesienie dla tragicznych losów matek polskich, którym okupanci mordowali w akcjach pacyfikacyjnych lub rabowali dzieci.

Z nabrzmiałym bólem słowem poetyckim skontrastowane były chłodne okólniki Himmlera i różnych instancji hitlerowskich omawiające tryb postępowania ze zrabowanymi dziećmi polskimi przeznaczonymi do wynarodowienia. Z syntezy bolesnej do granic wytrzymałości poezji i bezdusznego w zbrodniczym znieczuleniu biurokratycznego języka — rodzi się krzyk protestu i przestrogi, który jest nicią przewodnią poematu „Niobe 43".

Realizacja telewizyjna tego utworu zbudziła we mnie sprzeczne uczucia. Czuło się w niej troskę o znalezienie artystycznego kształtu jak najbardziej nośnego w stosunku do treści, jednocześnie jednak nie ustrzeżono się przed nadmiernym rozrostem formy widowiskowej.

Trudno powstrzymać się od wrażenia, że tak właśnie było. Stąd wywodzi się nadmierna rola, jaką w widowisku przypisali realizatorzy scenografii. Henri Poulain, który ma już za sobą wiele ciekawych realizacji telewizyjnych, tym razem stworzył oprawę plastyczną zbyt rozbudowaną i co gorsza niejednorodną. Wiele elementów scenograficznych ocenianych z osobna było w tym programie znakomitych.

Świetnym, skrótowym pomysłem jest wprowadzenie elektrycznej kolejki dziecięcej. Ta poczciwa zabawka symbolizująca jednocześnie transporty dzieci wywożone z Zamojszczyzny do Rzeszy była w sensie semantycznym bogata i trafna. Surowe, mocno przemawiające tło dla tragicznych monologów matek stanowiły nie heblowane deski. Inne znów skojarzenia budziły zapalone świece. Na każdy z tych elementów z osobna — zgoda! Ale wszystkie razem?

Dorzućmy do tego interesujące abstrakcyjne bryły, dokumentarne fotosy i realistyczny fragment gabinetu SS-mańskiego dygnitarza. Realizm miesza się z symbolem, poetycka metaforyka z dosłownością.

Wykonawcy przekazywali tekst z dużym skupieniem wewnętrznym, ale odnosiło się wrażenie, że z pewnym trudem przedzierają się przez gąszcz plastycznych i dźwiękowych efektów. Zmiana planu scenograficznego połączona była jakby z chwilą wahania aktora, który miał w danej chwili wypowiadać tekst. Te momenty opóźnień w startach, jakby obliczone na to, by dać widzowi oswoić się z nową scenerią, zwalniały niepotrzebnie rytm widowiska.

Do realizatora programu, Mieczysława Małysza, mam jeszcze jedną pretensję. O obsadę roli SS-mana. Bogumił Antczak jest aktorem o powierzchowności predestynującej go do ról szlachetnych. Mógł wprawdzie odczytując teksty zbrodniczych okólników sygnalizować swój emocjonalny sprzeciw, ale wtedy nie należało go ubierać w czarny mundur ss-mański, sugerujący utożsamienie się wykonawcy z postacią.

Pretensje moje wyłożone tu pod adresem programu „Niobe 43" niech nie będą fałszywie zrozumiane! Na tle przeciętności i nudy, jaka przeważnie panuje ostatnio na małym ekranie, program Małysza i Poulaina uważam za ambitny i poszukujący. Dlatego właśnie warto się trochę powadzić z realizatorami.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Tytuły filmów „Kobieta diabeł", „Kobieta owad", „Kobieta wąż" jeszcze raz przekonują nas, że w polityce zakupów CWF obowiązują prawa serii. Tę serię punktują w zasadzie tylko tytuły, które w tym przypadku, również nie pierwszy raz, służą raczej dezinformacji widza. Trudno bowiem w ten sam sposób informować widza, tytułem sugerując podobne treści i rangę proponowanego filmu. Trudno w tym samym szeregu wartości zestawiać oba japońskie filmy i angielski czysty horror „KOBIETĘ-WĘŻA". Gdy mowa już o tytułach, nie sposób nie ponarzekać na znakomitą wprost metodę odebrania widzowi przeznaczonego dlań przecież dreszczu emocji przez rozszyfrowanie już w tytule filmu tajemnicy, którą winien poznać na 15 minut przed końcem seansu grozy.

Premiery filmów grozy są u nas tak wielką rzadkością, że szkoda amatorom tego typu zabawy odbierać choćby cząstkę przyjemności. Szkoda również, że na premiery te nie wybiera się pozycji najlepszych spośród tak wielu realizowanych w tym gatunku, gdzieś w świecie, filmów.

Trudno po obejrzeniu „Kobiety węża" poprzeć apel wystosowany w „Polityce" przez p. Kałużyńskiego, który prosi widzów o życzliwość dla tego rodzaju filmów, bo wtedy będziemy ich oglądać w naszych kinach więcej. Po „Kobiecie-wężu" można tylko na słowo wierzyć p. Kałużyńskiemu, że horror to znakomite kino umiejące z „niedorzecznej baśni zrobić kawał poezji".

Dawnym odkryciem jest opinia, że człowiek dorosły lubi również bać się bezpiecznie, że strach przekształcony w zabawę dostarcza mu odprężającej rozrywki. Postacie i akcesoria baśni są znakomitym materiałem dla dobrego kina pod warunkiem jednakże, że weźmie ten materiał w ręce również niezły reżyser. Zasady dobrego smaku, inteligencji i niezłych pomysłów winny obowiązywać nawet w świecie upiorów, wampirów, strzyg, itp. zjaw. To co nam proponuje wspomniany angielski horror nie obfituje jednakże w żadną z tych zasad.

„Kobieta-wąż" jest pono filmem typowym dla klasycznej angielskiej serii opowieści niezwykłych, których akcja toczy się obowiązkowo w XIX wieku i w ukochanej przez upiory Kornwalii. Tyle, że w tym filmie wampira wymieniono na kobietę-węża. Sądzę, że wampir uratowałby ten film, wampir bowiem byłby na pewno sympatyczniejszy, a przede wszystkim, prawdziwszy, choć przecież nie zasadą prawdopodobieństwa kierujemy się stawiając nasze zarzuty biednej kobiecie-wężowi.

Jeśli horror ma być baśnią, dominować w nim musi fantazja i tajemniczość. Winien obfitować w mocne uderzenia, lecz nie może być prymitywny. Zaproponowany zaś nam film legitymuje się głównie właśnie prymitywizmem, a kobietę-węża obdarzono taką posturą, że człek nie może się nawet dobrze pobać, bo śmiech jest silniejszy od strachu.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

* * *

W czołówce filmu „PANNA MŁODA W ŻAŁOBIE" odnajdujemy dwa nazwiska znakomite: Jeanne Moreau i Francois Truffaut. Z kadrów całego filmu zaś raz po raz kłania nam się ukryty, ale obecny sam mistrz Alfred Hitchcock. Jemu to bowiem dedykował swój kryminalny dramat Truffaut, oddając mu szacunek w swoim i swych nowofalowych kolegów imieniu.

„Panna młoda w żałobie" nie jest jednakże w twórczości Truffauta filmem znaczącym. Jest dobrą wprawką stylistyczną, więcej, popisem umiejętności filmowania i bawienia się w inteligentne kino, lecz w końcu jest błahostką, która nie czaruje ani suspensem, ani zbyt głęboką analizą psychologiczną.

„Panna młoda w żałobie" jest opowieścią o zemście, przeprowadzonej przez owdowiałą w dniu ślubu kobietę na sześciu mężczyznach, którzy dokonali zbrodni. Odpowiedź na pytania „kto i dlaczego?" znajdujemy szybko. Pozostaje pytanie „jak" i szansa obserwacji działania mechanizmu zbrodni raz w ruch puszczonego. Coś, co może tu zafascynować, to konsekwentnie utrzymany pewien patos towarzyszący działaniu wymierzającej na własną rękę sprawiedliwość kobiecie, patos i głęboka wiara w sens tego działania. Ta nuta patosu i romantyzmu silnie w filmie akcentowana ratuje rzecz od banału. Gdyby nie ona, można by sądzić, że Truffaut raczej podkpiwa z tych, którzy wielbią Hitchcocka.

Poza wszystkim jest w filmie Moreau, aktorka zmienna, jak kameleon, porywająca. Jej obecność na ekranie, każdy gest, ruch i spojrzenie fascynują. W tym filmie o urzekającej kobiecie, której los kobiecość zabrał, mężczyźni są straszni. Truffaut patrząc na nich oczyma bohaterki, odbiera im wszystko. Pozostaje tylko Jeanne Moreau.

W zestawie repertuaru filmowego ostatnich miesięcy, owych wyżej wspomnianych „kobiet-diabłów, owadów, węży", obok „Polowania na muchy", film Truffauta dla polskiego widza nabiera dodatkowych akcentów.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

4 listopada 1966 r. woda zalała Wenecję

CZY ZGINIE WENECJA?

W roku 1966 cały świat został zaalarmowany wieścią, że Wenecja ginie. Uczeni obliczyli, że jeśliby Wenecję pozostawić własnemu losowi, ta perła architektury, miasto wspaniałych zabytków sztuki zniknie pochłonięte przez wodę najdalej w roku 2040.

Od 21 do 26 lipca, br. na wyspie San Giorgio przez osiem godzin, dzień w dzień, specjalna między narodowa komisja powołana przez UNESCO przeprowadzała badania by dojść do konkluzji: „Wenecja może być uratowana. Jest to sprawa dobrych chęci, organizacji i pieniędzy".

Od wielu już lat Wenecji grozi zagłada, ale dopiero powódź w roku 1966 unaoczniła światu niebezpieczeństwo szybkiego zniszczenia miasta. W tej chwili prawie jedna trzecia Wenecji jest zalana wodą. Najprzeróżniejsze, czasem nawet trudno uchwytne czynniki złożyły się na to, że miasto powoli, ale systematycznie pogrąża się w wodzie. Podniesienie się lustra mórz na całej naszej planecie, amplifikacja morskich przypływów, obsuwanie się fundamentów domów zbudowanych na bagnistym gruncie, wadliwy system falochronów, które nie stanowią dostatecznej zapory przeciw prądom wdzierającym się od morza, urządzenia związane z zainstalowaniem przemysłu, a spychające prąd wody w kierunku starego miasta, szczury i gołębie — oto cały kompleks przyczyn jakie działają niszcząco na to słynne z piękności miasto. Archiwa i biblioteki żerą wilgoć i pleśń, prawie wszystkie freski na zewnątrz budynków uległy zniszczeniu, a łącznie wszystkie zabytki rzeźby i malarstwa uszkodzone są w trzydziestu pięciu procentach. Miasto pustoszeje, gdyż ludzie przenoszą się gdzie indziej.

Obecnie, zarówno sami Włosi jak i instytucje zagraniczne przystąpiły do energicznej walki o ratowanie miasta, i jego zabytków. I tak np. w kościele Santa Maria dei Miracoli specjalna ekipa bada gruntownie ściany i wstrzykuje plastik zabezpieczający mury przed wilgocią, telewizja włoska restauruje jeden z pałaców, ekipa angielska zajęła się odrestaurowaniem jednego z zabytkowych kościołów. Mówi się też o uruchomieniu nowych zakładów przemysłowych, ale miłośnicy miasta boją się, że rozwinięcie przemysłu w Wenecji mogłoby wpłynąć na zanieczyszczenie wód, co z kolei pogłębiłoby niszczenie miasta. Proponują więc pozostawienie Wenecji jako obiektu turystycznego.

„To miasto żyło z wody i z wody miało umrzeć. Zostało jednak przez wodę uratowane. To sprawiła powódź w dniu 4 listopada 1966. W tym dniu świat zrozumiał jaka groźba zawisła nad naszym miastem" — powiedziała jedna z mieszkanek Wenecji, działaczka w obronie miasta przed jego zagładą.

ZMARŁA ERIKA MANN

W wieku lat 64 zmarła w szpitalu kantonalnym w Zurychu Erika Mann córka słynnego powieściopisarza Tomasza Manna. Była kolejno aktorką, pisarką, dziennikarką. Dwa lata temu opublikowała we Francji krótki esej o swoim ojcu pt. „La Derniere Annee" (Ostatni rok).

Córka autora „Czarodziejskiej góry" od dłuższego czasu mieszkała w Szwajcarii.

WIELKA WYSTAWA BRUEGLA W BELGII

Belgia uroczyście obchodzi 400-lecie śmierci wielkiego malarza flamandzkiego Pietera Bruegla Starszego (1525—1569). Wśród wielu imprez najważniejszą jest wielka wystawa Bruegla zorganizowana przez Muzeum Królewskie Sztuk Pięknych w Brukseli.

Ponieważ niemożliwością okazało się sprowadzenie do Brukseli wszystkich, rozproszonych po świecie płócien Bruegla, eksponowano tylko te jakie udało się zgromadzić, resztę zaś pokazano jako fotografie czarno-białe w naturalnej wielkości. Oprócz malarstwa eksponowano rysunki i sztychy Bruegla, które widzowie mogą obejrzeć w Bibliotece Królewskiej w Brukseli.

PRODUKCJA FILMOWA INDII

India należy do krajów przodujących pod względem ilości wyprodukowanych filmów. I tak w roku 1968 nakręcono tam 347 filmów długometrażowych, w tym 48 kolorowych. Produkcja filmowa Indii przeznaczona jest głównie na rynek wewnętrzny, a filmy realizuje się w czternastu językach tego rozległego kraju.

DEKORACYJNA SZTUKA DAGESTANU

Dekoracyjna sztuka Dagestanu, od końca III tysiąclecia p.n.e. aż do naszych dni, reprezentowana jest przez ponad 500 eksponatów na wystawie otwartej niedawno w Moskwie w Państwowym Muzeum Sztuki Ludów Wschodu. Znalazły się tu oczywiście tylko najwybitniejsze egzemplarze naczyń, broni, dywanów, ozdób ze szlachetnych kruszców, odzieży, ceramiki, zabawek. Wiele z tych artystycznych wyrobów można i dziś jeszcze ujrzeć w górskich aułach wschodniego Kaukazu w Dagestanie (Dagestańska ASRR).

Wytwory ludowej sztuki Dagestanu znajdują podziw i uznanie w szerokim świecie. I tak np. ceramiczne zabawki dagestańskie zdobyły I nagrodę w roku 1959 na Międzynarodowej Wystawie Ceramiki w Ostendzie (Belgia).

PULLY CZCI PAMIĘĆ ELUARDA

Od 6 do 25 września br. Biblioteka Miejska przy aktywnym współudziale władz municypalnych w Pully koło Lozanny zorganizowała wystawę dla uczcze..ia pamięci wielkiego poety francuskiego, Paula Eluarda.

W dniach, kiedy Francja obchodzi 25 rocznicę wyzwolenia, Szwajcaria pamięta o roli jaką odegrała udzielając wszechstronnego poparcia literackiemu ruchowi oporu walczącej z faszyzmem Francji.

Zainteresowanie postacią Eluarda wykracza poza ramy samych obchodów rocznicy wyzwolenia. Na wystawie znalazły się książki pisarza od jego pierwszych aż do ostatnich poematów. Oprócz tego w dziale „Eluard i malarstwo" pokazano płótna związane z postacią poety takich artystów jak Max Ernst, Giacometti, Leger, Picasso. Zorganizowano też szereg odczytów na temat życia i twórczości wielkiego poety.

Stella Mertens: „Ręce Eluarda".

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Carmen"	1	1260	100
„Straszny Dwór"	1	920	80
„Tragedyja"	1	620	50
„Romeo i Julia"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	2	1400	100
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	2	400	100
„Kaprys"	2	400	100
POWSZECHNY			
„Radziwiłł, Panie Kochanku"	2	1000	80
„Kawior i kaszanka"	3	1300	70
„Czarna komedia"	1	600	100
im. JARACZA			
„Ballada o tamtych dniach"	5	2900	90
TEATR 7.15			
„Jadzia wdowa"	5	1558	75
OPERETKA			
„Hrabina Marica"	6	4956	75
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	1200	90

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

PRZECENA CZYLI KSIĘGOWI I KSIĘGARZE

ANTYKWARIAT PRZY PLACU — CZECHOW ZA 50 ZŁ — RARYTASY NA BOCZNYM TORZE — 250 POZYCJI — OŁÓWEK EKONOMISTY

Jest przy Placu Wolności księgarenka-dziwo, księgarenka-curiosum. Znają tę maleńką klitkę ci wszyscy, którzy lubią przygody z książką, jej poszukiwania, nagłe odkrycie na zapomnianej półce dawno wyczerpanej pozycji, której darmo szukać w księgarni normalnej.

W ten to przecież sposób kupiłem pełne, kilkunastotomowe wydanie „Dzieł" Antoniego Czechowa. Zapłaciłem za nie w dodatku... 50 zł. Sama płócienna oprawa więcej warta! W ten to przecież sposób kupiłem 7 tomów Andrzeja Struga — również za grosze. Można by tak ciągnąć tę listę, ale myślę, że nie warto. Księgarenka reklamy nie potrzebuje. Ma swoich stałych klientów, niemal zawsze jest tu tłoczno.

Więc nie o reklamę chodzi tylko o pryncypia. Kiedy przed paroma dniami byłem znowu w księgarence na nowo zdumiała mnie wielka ilość absolutnych rarytasów księgarskich za którymi węszą po bibliotekach studenci polonistyki, ludzie teatru... Słowo daję nie bujam. Dwa tomy „KOMEDII OBYCZAJOWEJ WARSZAWSKIEJ" wydane przed laty w serii „Teatr Polskiego Oświecenia" można tu kupić za 13 zł. A jest to dzieło podstawowe dla każdego kto się zawodowo czy nawet amatorsko para sztuką sceniczną. Jest to w końcu komplet pełnych tekstów — tych wszystkich „Bigosów hultajskich", „Powrotów niespodzianych"... komplet dziewięciu komedii z przypisami, aneksami, komentarzami, życiorysami mało przecież znanych autorów XVIII-wiecznych komedii. Jak się rzekło dzieło to wydano 9 lat temu w nakładzie zaledwie tysiąca egzemplarzy.

Dlaczego więc znalazło się wśród księgarskich „cegieł"? Wiadomo. Po pięciu latach książkę można przecenić i zepchnąć na boczny tor dystrybucji. Więc przeceniono i zepchnięto. Ci co jej od lat szukają nie zawsze trafią do maleńkiej księgarenki przy Placu Wolności.

Zresztą przecież to nie o „komedię obyczajową" tylko chodzi. W witrynie leżą na przykład przecenione albumy (ze 150 na 50 lub 30 zł); tytuły takie jak: „Pasterstwo na Podhalu", „Struktura cząstek" albo „Kowalstwo". Nie twierdzę, że są to książki niepotrzebne. Na pewno jest dosyć w Polsce ludzi, których te sprawy zawodowo lub amatorsko interesują. Tylko dlaczego ogromny aparat dystrybucji książek dysponujący tysiącami pracowników, transportem, działami analiz rynku, reklamą... Dlaczego ten wielki aparat nie wstydzi się, nie rumieni — próbuje natomiast za jedną trzecią ceny (a pewnie 1/10 wartości) sprzedać książkę o pasterstwie w samym centrum 750-tysięcznego miasta.

Jeśli mi ktoś zarzuci przesadę, powiem: chodzi o prosty handlowy fakt, żeby książka dotycząca określonych spraw sprzedawana była głównie tam gdzie najwięcej potencjalnych nabywców. Amatorów pasterstwa w Łodzi raczej brak. Gdyby więc w swoim czasie centralnie pomyślano o dystrybucji „z głową' a nie „z rozdzielnikiem" nie trzeba by dziś przeceniać księgarskich rarytasów.

W katalogu przeceny jednego tylko dużego wydawnictwa mamy — bagatela — prawie 250 pozycji. A wśród nich 10 tomów „Pism wszystkich" Aleksandra Fredry za zł 40. „Okruchy poetyckie i dramatyczne" Norwida kosztujące zamiast 33 zł, obecnie już tylko 5 zł. I znów można ciągnąć tę listę, ale rzecz w czym innym.

Nie potrafię zrozumieć, że trzeba u nas przeceniać Norwida, którego poezja przeżywa renesans i byle snob kupuje jego wiersze. Nie potrafię zrozumieć, że trzeba przeceniać Fredrę, który jest w szkolnych lekturach. Wielu jeszcze rzeczy z tej ogromnej listy przecenionych książek nie potrafię zrozumieć.

Rozumiem teraz jednak dlaczego Alicję Lisiecką obwołano ostatnio w Anglii „najwybitniejszym krytykiem Polski". Na owej liście przecen są także dwie jej książeczki. Pozycja 119 i 120 — w towarzystwie Leśmiana, Lukiana, Lessinga... Nic dziwnego, w takim towarzystwie...

Wróćmy jednak do spraw poważnych. Przecena jest na pewno koniecznością — taka operacja musi być od czasu do czasu przeprowadzana. Ale skoro mamy potężny aparat dystrybucji książek, ludzi dla których księgarstwo jest zawodem i powołaniem — niech konieczne korektur w „masie towarowej" nie robi się rękami księgowych lecz właśnie księgarzy. Niech w następnych katalogach przecen znać będzie czułą troskę księgarza a nie tylko bezduszny ołówek ekonomiczny.

JERZY WIDOK

Bez strachu

W DWORCOWEJ RESTAURACJI

W dworcowej restauracji, w czasie deszczu — długo siedzą przy moim stoliku: mężczyzna o wypukłych, błękitnych oczach i piegowata, nieśmiała kobieta. Kobieta położyła na stole niebieską torebkę. Pada deszcz, lecz niebo powoli rozjaśnia się — oni nie widzą rozjaśnienia, pragną długiego deszczu i długiej rozmowy. Mężczyzna ze zniszczoną poradloną twarzą, mówi, że deszcz będzie padał długo, wyjaśnia, że oczekiwał tego deszczu, przeczuwał go. Kobieta wsłuchuje się w jego słowa, jest to brzydka kobieta, uwierzy w słowa mężczyzny, uwierzy, że pada deszcz, nawet wtedy, kiedy niebo będzie zupełnie błękitne. A jednak przerywa mu by powiedzieć: „Helena ma piękne oczy", „Co mi tam po jej oczach" — powiada mężczyzna „Ja szukam człowieka, przyjaciela, ważne jest serce nie oczy, oczy nie budują życia, oczy niczego nie tworzą — tworzy serce". Kobieta słucha go i wierzy, przetwarza go zapewne, przeinacza mocą swojego twórczego serca. Wygładza się dla niej jego zmarszczona twarz, nabierają głębokiej barwy blade oczy, pięknie i prawdziwie brzmią jego słowa przypadkowo przecież piękne, lub szpetne i mało rozumiane przez tego, który je wypowiada. Mężczyzna ciągle mówi, milknie już deszcz, pora wyjść z dworcowej restauracji, pora gdzieś pojechać, albo wrócić do miasta, nie wolno tak siedzieć przy stoliku, udawać podróżnego, udawać zakochanego, nie wolno tak tworzyć sercem. Deszcz pada lub nie pada, człowiek jest piękny lub brzydki, mówi prawdziwie, lub nieprawdziwie... Nastąpi chwila ocknienia w świecie nie zbudowanym sercem, w świecie twardym, gdzie człowiek musi słuchać praw rzeczy i zimnej gry o urojone sprawy. Dlaczego ta przydługa chwila przy dworcowym stoliku? Chcę do nich krzyknąć: „Ocknijcie się, deszcz już ustał, wracajcie do znanego świata, świata, gdzie liczą się myśli i mięśnie, a nie serce. Koniec już z tym ogranym symbolem — przecież serce to tylko symbol — rzeczywisty jest tylko ów worek mięsny opisany przez fizjologów i anatomów. Od dzieciństwa ciągle nam mówią o sercu, o czymś czego nie ma. Uczą nas nieprawdy o świecie i o ludziach. Niektórzy uprzytomnią sobie to oszustwo dopiero w chwili wydania ostatniego oddechu, kiedy będzie zbyt późno by żyć inaczej, by żyć. Niepotrzebne są jego słowa, i twoje serce, deszcz jest zbyteczny i ta wymyślona podróż, kiedy nauczycie się żyć, kiedy wreszcie zrozumiecie jak wiele wam wolno". To wszystko chciałbym wykrzyczeć. Rozglądam się — jestem sam przy dworcowym stoliku. Pytam bufetową w czarnym fartuchu kiedy odeszli? Bufetowa mówi, że przed chwilą pobiegli do pociągu unosząc walizki. Bufetowa zna ich — wie gdzie pojechali, bufetowa wie, że są rodzeństwem, bufetowa wie ponadto i może mi powiedzieć w zaufaniu... Nie chcę już słuchać, odchodzę od dworcowego stolika. Świeci słońce, niebo jest czyste — dlaczego ona mówiła o oczach jakiejś Heleny?

BERNARD SZTAJNERT

VINCENT MCCONNOR

Paulina czy Dioniza?

DALSZY CIĄG

Kilka nocy później straszny krzyk wyrwał Paulinę z głębokiego snu. Narzuciwszy szlafrok wybiegła na korytarz. Poprzez otwarte drzwi przeciwległego pokoju zobaczyła, że Dionizy nie ma na łóżku.

Julian wychodził ze swego pokoju zawiązując sznurek wokół szlafroka. — Co się stało? — zawołał.

— Nie ma Dionizy w pokoju.

Zapalił szybko światło i pobiegł w kierunku Pauliny opartej o balustradę schodów.

Marcin i jego żona kucharka spoglądali z parteru w górę.

Dioniza leżała przy końcu schodów. Jej szczupła postać owinięta w błękitny szlafrok przypominała lalkę.

— Zabiłeś ją — dyszała Paulina, schwyciwszy rękę Juliana.

— Nie brałem udziału w tym, co zaszło, przysięgam ci. — Julian zaczął schodzić w dół. — Uważaj, co mówisz, ktoś może usłyszeć.

Doktór Ponsard przywołany telefonicznie stwierdził, iż Dioniza odniosła tylko lekkie kontuzje. — Ma pani szczęście, panno Dionizo, mogło nastąpić nadwerężenie kości szyi.

— Czy jest pan pewny, doktorze? — informował się Julian stojąc przy łóżku siostry wraz z Pauliną.

— Ależ najpewniejszy. — Lekarz podrapał się w czoło. — Jak to się stało, panno Dionizo?

— Nie mogłam spać — mówiła słabym głosem. — Pomyślałam, że zrobiłoby mi dobrze trochę mleka. Nie chciałam nikogo niepokoić i dlatego nie zapaliłam światła na korytarzu. Zaczęłam schodzić i nagle... potknęłam się. Obcas zaplątał mi się w czymś, nie wiem..., może to był mój szlafrok.

Lekarz pokiwał głową. — Te incydenty zbyt często powtarzają się. — Zwrócił się do pozostałych dwojga. — Czy możecie poczekać na korytarzu? Zrobię jej zastrzyk, aby usnęła.

Julian wyprowadził siostrę i zamknął za sobą drzwi.

— To ty zrobiłeś — szepnęła Paulina.

— Nie.

— Zrozumiałam wszystko, jak tylko usłyszałam krzyk Dionizy.

— Przysięgam ci, że to nie ja. Wydarzył się jeszcze jeden ze zwykłych incydentów, jak to powiedział lekarz.

— Rozwiesiłeś coś na stopniach, aby upadła!

— Nie, Paulino! Jestem niewinny, spałem jak suseł.

— Nie wierzę ci. Przyrzekłeś mi, że mnie najpierw uprzedzisz. — Zadrżała. — Przecież mogło się to wydarzyć także i mnie. Mogłam zejść do kuchni, aby coś zjeść. Czynię to wiele razy. Zaplątałabym się i stoczyła aż na sam dół!

— Ależ co ty wygadujesz?

— Jeżeli byłbyś zdolny zabić Dionizę, to dlaczego miałbyś mnie oszczędzać?

— Z tej prostej przyczyny, że jesteś moją ulubioną i najmilszą siostrą... Byłaś nią zawsze.

— Czy jesteś ciągle zdecydowany, aby... aby zabić Dionizę?

— Tak.

— Ale mnie uprzedzisz! Przyrzeknij mi!

— Uprzedzę cię, przyrzekam.

— Nie zrobisz tego zaraz, dobrze, Julianie? — Uwiesiła mu się na szyi. — Pozwól, aby minęło jeszcze trochę czasu.

— Dobrze. Bądź spokojna.

Istotnie, nie ośmieliłby się próbować czegokolwiek przez kilka tygodni, dopóki wypadek, w którym naprawdę nie brał udziału, nie zostanie zapomniany.

Zdecydował się ostatecznie, którą siostrę wyeliminuje. Oskarżenia Pauliny zmusiły go do powzięcia decyzji. Życie z Dionizą będzie na pewno znośniejsze. Gdy otrzyma dodatkową część renty, zamknie się w jakiejś klinice, a on nie będzie się już nią interesował.

Tymczasem Paulina zawsze usiłowałaby kierować jego egzystencją. Po nagłym wzbogaceniu stałaby się despotką.

Tak, wybór powinien paść na Paulinę!

* * *

Życie w domu rodziny Laurent stawało się z dnia na dzień coraz bardziej nieznośne, wprost irytujące.

Maj w Paryżu był niezwykle ciepły, ocieplało się jeszcze bardziej w pierwszych dniach czerwca. W sklepach i restauracjach ludzie denerwowali się o byle co.

W końcu czerwca Julian ustalił, że nadszedł moment, aby wykonać zamierzony plan. Przed śniadaniem obejrzał stary wóz Pauliny. Był w tak marnym stanie, że nikt by niczego nie podejrzewał, gdyby hamulce nagle przestały działać.

Przed wyjściem z domu zwierzył się Dionizie, że plan zostanie wykonany pod koniec tygodnia.

— Co masz zamiar zrobić? — Dioniza zarzuciła go pytaniami.

— Zobaczysz niedługo. — Julian nie chciał powiedzieć, że zepsuł hamulce samochodu Pauliny.

Wtajemniczenie Dionizy w plany, dotyczące zgładzenia Pauliny uwolniło jego sumienie od wszelkich wyrzutów. Dzień był bardzo przyjemny. Śniadanie spędził w towarzystwie aktoreczki o fiołkowych oczach, która czasem otrzymywała drobne role w filmach. Następne godziny poświęcił zakupom. Zamówił parę butów u angielskiego szewca, wybrał dla siebie kilka eleganckich krawatów.

Wrócił do domu późno. Musiał jeszcze przebrać się, gdyż umówił się z Angeliką. Następnego dnia miała udać się samolotem do Szwajcarii, gdzie chciała zatrzymać się kilka tygodni.

Julian przed wyjściem z domu wstąpił na chwilę do Dionizy. Była, jak zwykle, w łóżku. Nakryła plecy szalem mimo upału, który wlewał się przez otwarte okno.

— Nie ubrałaś się do kolacji? — zdziwił się Julian.

— Czekam na Paulinę, jeszcze nie wróciła. Miała wiele sprawunków do załatwienia. Nie mam pojęcia, gdzie przebywa o tak późnej porze.

Może się już wydarzył wypadek — pomyślał Julian. — Czy pojechała autem? — zapytał.

— Nie, zabrali ją znajomi. Powiedziała, że wróci do domu taksówką. Julianie, czy mógłbyś mi powiedzieć, kiedy się to zdarzy dokładnie?

— W ciągu tygodnia. Nie potrzeba, żebyś więcej wiedziała.

— Trudno. Czy zjesz kolację z Angeliką.

— Jak zwykle.

— Gdy pewnego dnia będziesz dysponował większą ilością pieniędzy, czy ożenisz się z Angeliką?

— Zostawiając ciebie samą? Nawet przez myśl mi to nie przeszło! Jak możesz sobie coś podobnego wyobrażać!

Pochylił się i pocałował jej blade czoło, a potem skierował się do drzwi. — Zresztą Angelika straciłaby alimenty. No, i w ogóle nie chce. Tak jest najlepiej dla nas obojga.

— O której godzinie wrócisz do domu?

— Przed 10 wieczorem. Angelika wyjeżdża jutro rano do Montreux, gdzie będzie gościem swych przyjaciół.

— A więc o 10!

Podczas, gdy Julian biegł po schodach, na dole ktoś otworzył ciężkie drzwi wejściowe. Zjawiła się Paulina obładowana paczkami.

— Czy nie przyszłaś za późno? — zapytał.

— Miałam wiele spraw do załatwienia. I, jak zwykle, namęczyłam się, aby znaleźć taksówkę.

Paulina rzuciła okiem w kierunku schodów. — Jak się czuje Dioniza?

— Jak zawsze. Narzeka, lecz jest zdrowa.

— Czy wciąż jeszcze masz zamiar...

— Ależ naturalnie!

— Kiedy? — Paulina wytarła twarz koronkową chusteczką.

— Bardzo niedługo... może w ciągu tygodnia.

— Wolałabym abyś tego nie czynił. To straszne. — Oparła się o balustradę. — Obawiam się, że nie będę ci już nigdy wierzyła, jeżeli Dioniza znów ulegnie jakiemuś wypadkowi. Zawsze będę myślała, że to twoje dzieło.

— Możesz być pewna, że ja nie popełnię żadnego błędu. Gdy przygotuję wypadek, będzie doskonały i ostateczny. A teraz wybacz mi, kochanie. Już jest późno.

— Zobaczymy się wieczorem?

Powinienem wrócić przed godziną 10. Przyjdę do twojego pokoju.

— A więc o 10!

* * *

Kolacja na tarasie restauracji nad Sekwaną udała się wspaniale. Angelika wyglądała świeżo i elegancko w nowej lnianej sukni i białym kapeluszu na włosach koloru miodu.

— Zadaję sobie pytanie — mówiła — czy nie mógłbyś przyjechać do mnie w przyszłym tygodniu. Montreux nie jest miejscowością zbyt drogą. Jeżdżę tam dość często. Mógłbyś mi zafundować tydzień w jakimś małym hotelu. A potem wrócimy autem do Paryża.

— Przecież wiesz, że moja maszyna nie wytrzyma tej podróży. A poza tym nie wypada mi być nieobecnym w Paryżu, gdy zabraknie mojej biednej siostry.

— Twoja siostra... Julianie! Zdecydowałeś się?

— Tak. Wszystko zostało obmyślone.

— Nie wyobrażałam sobie, że naprawdę zrealizujesz ten projekt. Od kilku tygodni nie o tym nie mówisz. Która z dwóch sióstr? Paulina czy Dioniza?

— Nie uważam, aby nią miała być Dioniza. Była zawsze nieszczęśliwa. Już od dziecka Paulina była tą, która miała najładniejsze podarunki, rozrywki, podróże.

— A więc Paulina?

— Tak, Paulina.

* * *

Gdy Julian zwolnił, aby zatrzymać się bliżej chodnika, zauważył, że przed jego domem stał zaparkowany czarny samochód doktora Ponsarda. Przyspieszył kroku. A więc stało się! — myślał. Widocznie Paulina znów wyjechała po kolacji, tym razem swoim autem.

Marcin otworzył drzwi wejściowe, nim Julian zdążył wyciągnąć klucze z kieszeni.

— Co jest, Marcinie? Co się stało?

Dokończenie nastąpi

Lewym okiem

REFERENCJE

Żadna rozmowa w towarzystwie nie może się obejść bez przypięcia takich, czy innych łatek osobom nieobecnym, a mającym coś wspólnego z rozmówcami. To przypinanie łatek obraca się przy tym w kręgu kilku zasadniczych grup tematycznych: sprawy bardzo osobistych afektów, sprawy zarobków i sprawy kariery zawodowej, czyli protekcji.

Właściwie w tych trzech tematach wyczerpuje się w ogóle całe czynne życie człowieka: pracuje, zarabia, kocha. Każdy z nich jest oczywisty, ale każdemu można nadać — czasem słusznie, czasem złośliwie — wydźwięk negatywny, taki z zapaszkiem.

Zaraz — czy protekcję też możemy uznać za coś oczywistego? Słowo jest niepiękne. Ale przecież gdy zastąpimy je słowem referencje — już jest wszystko w porządku. Kandydat do pracy, do awansu, do delegacji zagranicznej, na studia itd. — uzbraja się w referencje, żąda się tego od niego. Referencje — czyli poparcie ze strony osób autorytatywnych, znających kandydata. Poparcie — czyli z łacińska — protekcja.

Chodzi tylko o to, żeby protekcja — przepraszam — poparcie nie było udzielane wbrew obiektywnym wartościom kandydata, a właśnie w podkreśleniu tych wartości. Żeby było uzupełnieniem dokumentów, stwierdzających kwalifikacje kandydata, a nie — zastępstwem tych dokumentów. Jednym słowem — żeby było uczciwe. Bez uczciwej protekcji — nie łudźmy się — nic dziać się nie może. Żadna instytucja nie przyjmuje na stanowiska, związane z jaką taką odpowiedzialnością, ludzi, o których nikt nic nie umie powiedzieć.

Bardzo niedobrze jest natomiast wtedy, gdy przestają się liczyć jakiekolwiek sprawdzalne kryteria w ocenie człowieka, a człowiek ten staje się po prostu odczynnikiem skomplikowanych zagrań, gierek, intryg innych ludzi. Musimy przyjąć Iksa, bo za nim stoi Ygrek, a Ygrek może nam zaszkodzić. Albo nie możemy przyjąć Iksa, bo za nim stoi Ygrek, a Ygrek nam zaszkodził. Albo wyrzućmy Iksa, bo Ygreka też już wyrzucono. Albo wyrzućmy Iksa, bo trzeba przyjąć Ygreka.

Niedobrze jest też, gdy młody człowiek bez tremy i z wielką pewnością siebie spogląda w przyszłość, bo ma bardzo wymowne referencje. Taki człowiek czasem ma rację, czasem ma długo rację, ze swych referencji profituje bez skrupułów, ale niekiedy jego prosperity pęka z hukiem jak balonik, bezpowrotnie, zostawiając sporo absmaku u otoczenia.

A może się zdarzyć i tak, jak Ryszardowi Wagnerowi, który mając dwadzieścia sześć lat ruszył na muzyczny podbój Paryża z listem poleconym do Meyerbeera. Meyerbeer dodał od siebie drugi list i skierował Niemca do dyrektora opery paryskiej Leona Pillet. W liście napisał krótko: „Drogi Przyjacielu, niech mnie Pan z łaski swej uwolni od tego durnia".

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny). Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (poezja i proza). Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1989 B-12.